

Zdzisław Kozłol

POPULARNOŚĆ zaocznego kształcenia jest bez wątpienia fenomenem w naszym życiu społecznym. Już obecnie 40 proc. studiujących łączy pracę z nauką, a z różnych form dokształcania korzysta co piąty pracownik. W perspektywie studia dla pracujących mają wykształcić tyłu specjalistów, co i studia dzienne. Dotychczas np. 30 proc. inżynierów zdobyło dyplomy na uczelniach zaocznych lub wieczorowych.

Tegoroczna rekrutacja stawia jednak pod znakiem zapytania realność tak szeroko zakrojonego programu, a co gorzej: w szkolnictwie dla pracujących uwidacznia się swego rodzaju kryzys, chociaż w wielu sprawach, np. programowych, obserwuje się znaczny postęp. Dla przykładu podam, że w sposób nowatorski rozwiązywane są problemy technicznych studiów dla pracujących, jak chociażby wykorzystanie telewizji.

Zewnętrzny przejaw wspomnianego kryzysu jest niewykonywanie planów naboru przez poszczególne szkoły czy uczelnie. A więc jak to jest z tą popularnością kształcenia? Zaczniemy od tegorocznej rekrutacji. Na pierwszym roku studiów wieczorowych i zaocznych miało rozpocząć naukę 25 tys. osób, o 4 tys. więcej aniżeli w roku ubiegłym. Dla porównania: na pierwszy rok studiów stacjonarnych przyjęto 35 tys. osób.

Nie jest to jeszcze pełne zrównanie ilościowe obu form — stacjonarnej oraz zaocznej i wieczorowej — kształcenia, ale plany rozwoju studiów dla pracujących ku temu zmierzają. Zwiększony jednak w tym roku plan przyjęć o 4 tys. jest niewykonywany: brakuje właśnie 4 tys. studentów, chociaż na uczelnie podległe Ministerstwu Szkolnictwa Wyzszego, które dysponują około 90 proc. miejsc, zgłosiło się 32 tys. kandydatów. Wielu z nich, zbyt wielu jak się okazało nie czyni zadość wymogom stawianym przez uczelnie; szczególnie braki wykazują z przedmiotów ścisłych.

A więc wyłania się w pierwszym rzędzie kwestia metod rekrutacji i selekcji kandydatów. Bez istotnych, gruntownych zmian zamierzone plany rozwoju studiów dla pracujących nie będą realizowane. Zresztą, niektórzy już od dawna wątpią w celowość ilościowego zrównania obu form kształcenia, uważając, że studia dla pracujących powinny tylko uzupełniać stacjonarne.

Tego rodzaju oceny wynikają niekiedy z niezrozumienia nowych procesów społecznych, ale częściej — co trzeba szczególnie podkreślić — są następstwem znajomości faktycznych możliwości uczelni, całego spłotu zagadnień na trójką: uczelnie — zakład pracy — student. W każdym bądź razie niewykonywanie w tym roku planu przyjęć jest alarmem, stawia na porządku dnia konieczność kompleksowego rozpatrzenia problemu z uwzględnieniem punktu widzenia wszystkich kontrahentów: uczelni, zakładu pracy, studenta.

Przyglądnijmy się kandydatom na studia. Ich wiek jest obecnie znacznie niższy niż przed laty. Najliczniejszą grupę stanowią ludzie w wieku 25—30 lat, sporo jest także młodzieży, która nie ukończyła jeszcze 21 roku życia. Coraz więcej zgłasza się pracowników pełniących funkcje wykonawcze, a dawniej na wielu kierunkach przeważały różnego rodzaju kierownicy, którzy podejmowali studia dla umocnienia swej pozycji zawodowej i społecznej. Obecni słuchacze tę pozycję chcą z d o b y ć właśnie drogą studiów. Zwiększa się także napływ kobiet.

Godne odnotowania jest porównanie składu socjalnego studentów uczelni stacjonarnych i dla pracujących. Na studiach dziennych jest 27 proc. studentów pochodzenia robotniczego, 17 proc. — chłopskiego, 59 proc. — inteligenckiego. Na studiach wieczorowych przeważają studenci pochodzenia robotniczego, bo aż 55 proc., a inteligenckiego i

chłopskiego — po 22 proc. Również na studiach zaocznych w zdecydowanej większości są studenci pochodzenia robotniczego i chłopskiego.

Tak więc obniża się wiek studentów, studia podejmują pracownicy szeregowi, a młodzież robotnicza i chłopska, która z różnych względów nie kształci się na uczelniach stacjonarnych, włączeniu pracy z nauką widzi drogę awansu;

Studia zaoczne podejmują ludzie po kilkuletniej przerwie w nauce, ludzie, którzy z reguły nie znają zasad samokształcenia, samodzielnej pracy z książką. Sprawa szczególnie ważną są więc kursy przygotowawcze, które obok wielu innych korzyści spełniają w pewnym sensie rolę czynnika selekcyjnego kandydatów jeszcze przed egzaminem wstępnym. Kursów tych jest zbyt mało.

Konieczność zmian w systemie rekrutacji jest podyktowana innym niż dawniej składem kandydatów.

z życia. Trzeba także uwzględnić i to, że żywiłowość w kształceniu dezorganizuje prace instytucji czy przedsiębiorstw, które w pierwszym rzędzie mają produkować czy świadczyć inne usługi. Spraw wyłania się więcej, jeśli uwzględnimy punkt widzenia zakładu pracy.

Dużym krokiem naprzód jest uchwała rządu o planowaniu kształcenia, oraz o powoływaniu służb szkolenia w przedsiębiorstwach. Pewne wzory w tym zakresie przyniosła wieloletnia praktyka. Wzorów tych można np. szukać w niektórych

głównie dla przedsiębiorstw. Ta szansa jest tylko w znikomym stopniu wykorzystana.

Trzeba także uwzględnić punkt widzenia uczelni. Są one krytykowane za brak postępu w zakresie dydaktyki kształcenia dorosłych, traktowanie tych studiów jako mniej ważnych, czego przejawem jest np. powierzanie zajęć z ludźmi bądź co bądź dorosłymi, młodym, niedoświadczonym pracownikom uczelni, przeważnie asystentom.

Na ten temat można by sporo pisać, przytaczać jaskrawe nawet przykłady, ale w wielu wypadkach uczelnie nie mają bazy dla tych studiów, a ta którą stworzono przed laty już dawno nie wystarcza, zważywszy zwielokrotnioną liczbę studentów. Wydziały zaoczne czy szkoły wieczorowe były dotychczas zbyt ekstensywnie eksploatowane; stale zwiększane zadania nie znalazły pokrycia w świadczeniach na ich rzecz.

Spłot tych zagadnień syntetycznie ujął jeden z uczestników dyskusji zorganizowanej przez „Politykę”. „Obecną sytuację — powiedział — można określić, jeśli nie jako dramatyczną, to jako niepokojącą. Niepokój obserwujemy w wszystkich kontrahentach. Niepokoi się słuchacz, który nie ma odpowiednich warunków do studiów, klimatu, materiałów, środków. Niepokoi się zakład pracy, w którego planach zatrudnienia nie uwzględnia się faktu, że coraz większa liczba pracowników będzie studiować. Niepokoi się uczelnia, które nie mają odpowiednich środków, żeby dobrze kształcić”. („Polityka” nr 33).

Sytuacja jest rzeczywiście trudna; poważnie rozbudowane szkolnictwo dla pracujących nie mieści się już w dotychczasowych ramach. Bez poważnego wysiłku program jego rozwoju nie będzie w pełni realizowany.

PROGRAM BEZ ZABEZPIECZENIA?

aspiracje te pokrywają się z interesem państwa. Wspomniana ewolucja wydaje się mieć charakter stały i niewątpliwie niesie z sobą szereg konsekwencji społecznych.

Jeszcze pewna uwaga o charakterze ogólnym. Studia zaoczne czy wieczorowe wymagają silnej woli, samozaparcia, sporo wyrzeczeń. Nie ma one także kosztują. Mam na uwadze wydatki na podręczniki, przejazdy, noclegi itp., a także często niższe zarobki wynikające z braku czasu na ewentualne zajęcia dodatkowe. A tymczasem młodzież uczęca się i studiująca w „normalnych” szkołach i uczelniach ma zapewnione dobre warunki, można nawet powiedzieć, że świetne, przynajmniej w zestawieniu z młodzieżą, dla której w tych szkołach brak miejsc. Wprawdzie możliwości zdobycia zawodu są duże, ale już absolutnie szkoły podstawowej — jeśli nie podjął nauki w szkole średniej — za naukę zawodu musi płacić różnego rodzaju towarzystwom czy spółdzielniom oświatowym — organizatorom drogiej kursów.

Ten aspekt zagadnienia jest niedostrzegalny i to jest zjawiskiem społecznie niepokojącym. Niezwykle konieczna jest więc pomoc również tym, którzy łączą naukę z pracą zawodową. Ta pomoc jest potrzebna chociażby z uwagi na zarysowujące się zmiany w strukturze studentów pracujących. Uprawnienia uczących się są zawarowane w 60 aktach normatywnych wyższego rzędu i kilkuset przepisach niższego rzędu. Napoleon kazał podobno pisać prawa krótko i niejasno; przepisy w sprawie kształcenia pracujących nie są wprawdzie krótkie, ale w pełni odpowiadają drugiemu wymogowi; w tym gąszczu gubią się nawet wytrawni kadrowcy. Można je dowolnie komentować, jakże często na niekorzyść pracownika. Podjęto już prace kodyfikacyjne, od dawna zapowiadane są także zmiany, m. in. w kierunku rozszerzenia zakresu ulg...

Uporządkowanie przepisów jest wstępnym warunkiem dalszego rozwoju kształcenia pracowników, a usprawnienie systemu w tych studiów trzeba w pierwszym rzędzie — jak już wspomniałem — zacząć od zmiany metod rekrutacji i selekcji. Obecnie jest zbyt wiele żywiłowości, która utrudnia wyłonienie kandydatów przydatnych. Rokrocznie część zgłaszających się chyba zbyt lekkomyślnie podejmuje decyzję o rozpoczęciu studiów, skoro nawet nie zgłasza się do egzaminów wstępnych. Niepokojącym zjawiskiem jest słabe przygotowanie kandydatów. Jeszcze bardziej niepokoi niska sprawność, zwłaszcza duży odśiew na pierwszym roku.

Należy się liczyć, że część młodzieży, która w tym roku nie została z braku miejsc przyjęta na studia dzienne, za dwa — trzy lata podejmie je zaocznie, tym bardziej, że nie musi ponownie składać egzaminu wstępnego. Jeśli z tej szansy skorzysta młodzież nieprzygotowana do samodzielnej i systematycznej pracy, odsiew na pierwszym roku będzie bardzo wysoki. Kursy przygotowawcze mogą temu zapobiec.

Ale kto je ma organizować? Uczelnie? Zakład pracy? A może organizacje techniczne, którym przeznaczają się coraz większą rolę w zakresie opieki nad studiującymi?

A z tą opieką bywa różnie, przeważnie źle. Słyszałem kiedyś powiedzenie, że „zaocznicy” są największymi w naszym społeczeństwie malkontentami: wszystkiego mają za mało, żądają cudów, zgłaszają pretensje do pracodawcy, uczelni, a zwłaszcza egzaminatorów. Awanturują się o urlopy, domagają się zwrotu kosztów przejazdów na uczelnie, książek do biblioteki, które tylko im są potrzebne, finansowania punktów konsultacyjnych. Słowem — narzekają i żądają. Oskarżenie to było zakończone efektywnym dowcipem: — „A wiecie jaka jest różnica między słowikiem a wróblem? Jeden i drugi śpiewa, ale wróbel ukończył zaocznie konserwatorium”.

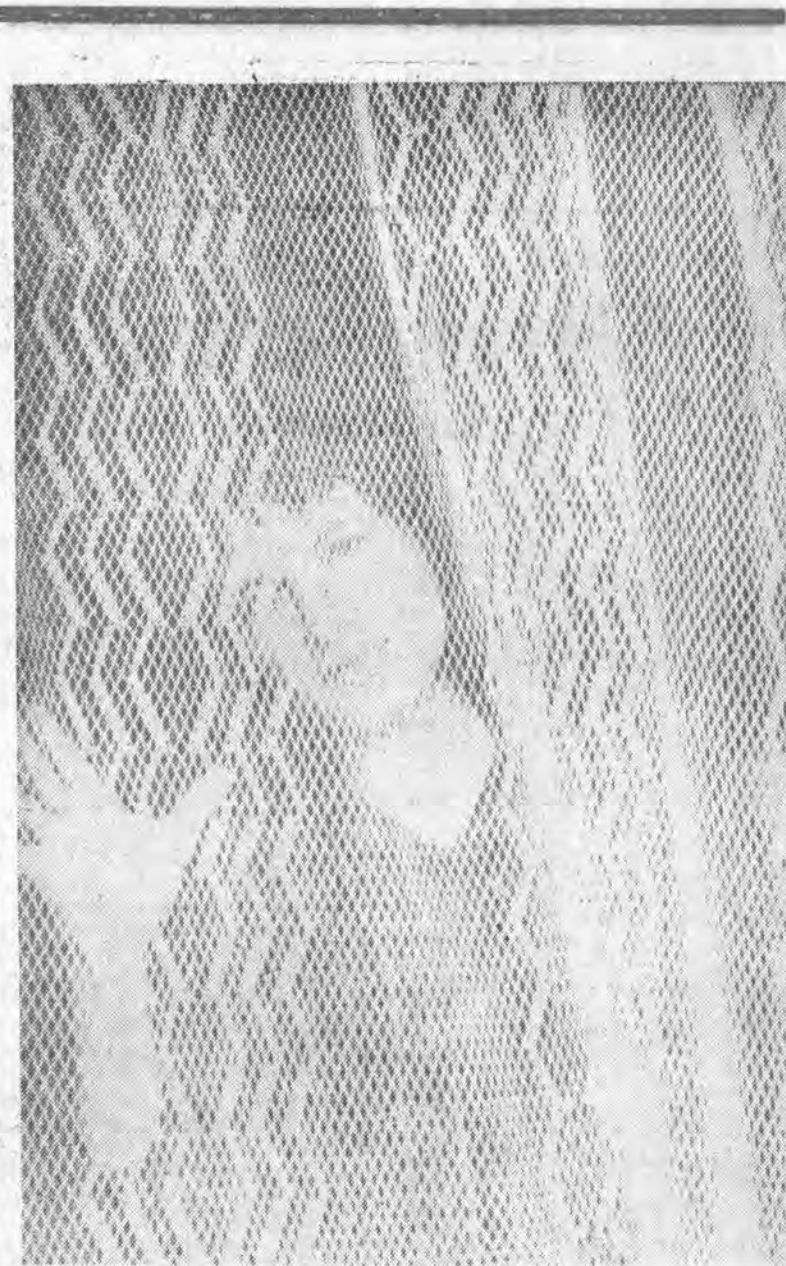
Przykłady na złą atmosferę — różnorodną szykany i złośliwość, z jakimi spotykają się studenci zaocznie — można mnożyć. Bywają one uogólniane, a liczne dysputy na ten temat obracają się wokół klimatu, który rzeczywiście nie zawsze sprzyja zdobywaniu wykształcenia, ale czy źródła niedomogów należy doszukiwać się wyłącznie w zawiści, niechęci, złej woli?

Przecież co piąty pracownik podnosi kwalifikacje, uczy się, studiuje. Przedsiębiorstwa i instytucje pod wieloma względami nie są do tego przygotowane, stają bezradne wobec zjawiska dawniej nie spotykanego. Może i dlatego właśnie traktuje się często studia jako prywatną sprawę pracownika, co z kolei powoduje, że nikogo nie interesuje w jakich warunkach on się uczy, skąd ma wziąć podręczniki i skrypty, kiedy przygotowywać się do egzaminów. W tej sytuacji nawoływanie do stworzenia dobrej atmosfery jest po prostu nieporozumieniem. W pierwszym rzędzie niezbędne jest jasne określenie obowiązków odpowiedzialnych za rozwój kształcenia pracujących.

Trzeba chyba zacząć od zwiększenia, raczej niedużej obecnie, roli zakładu w kierowaniu pracownikami na studia. Pilną zaś koniecznością staje się sensowne, racjonalne planowanie, kto i w jakim okresie będzie się uczył, jakie kwalifikacje zdobywał, bo np. czy przedsiębiorstwo branży metalowej jest zainteresowane podjętymi przez pracownika studiami rolniczymi? Przykład absurdalny? Nie, wzięty

przedsiębiorstwach przemysłu ciężkiego w Rzeszowskim. Ciekawie problemy te już przed laty rozwiązało w Hucie „Stalowa Wola”.

Drugim, obok planowania kształcenia, podstawowym warunkiem rozwoju studiów dla pracujących jest współpraca uczelni z przemysłem. Kiedyś pisałem o pracach dyplomowych pracowników mieleckiej WSK; ich treścią były konkretne problemy przedsiębiorstwa, a korzyści jakie przyniosły z nawiązka zrekomensowały koszt, jaki ponosił zakład na kształcenie pracownika. Studia dla pracujących stwarzają warunki dla zacieśnienia więzi przedsiębiorstw z uczelniami, z korzyścią chyba dla obu stron, ale



PORTRET

Fot. J. WITOWICZ

Organizatorzy życia kulturalnego

Zbliżający się sezon jesienny sprzyja rozmowom o kulturze i o oświacie. Warto przecież się zastanowić jak spędzimy wieczory do następnej wiosny; zrobić remanent bazy do pracy kulturalnej i pomyśleć o jak najlepszym jej wykorzystaniu. Tegorocznym rozważaniem towarzyszy niecodzienna atmosfera przygotowań do Kongresu Kultury Polskiej. Narzuca ona rozmowom rodaków ton bardziej poważny, stanowisko bardziej krytyczne do dokonanej pracy, zobowiązuje do nakreślenia realniejszych form dzia-

łania, bo czas już by „eksperymenty” — słówko bardzo modne — i „siomiany zapał” zastąpił długofalową i systematyczną pracą.

„Warto, trzeba, powinno się” odmiennymi na najdziwniejsze sposoby, tylko nadal niezbyt wiadomo co jak zrobić. I właśnie sprawy efektywnej pracy kulturalnej na wsi i

organizacji aktywnego odpoczynku były tematem mojej dysputy (a raczej głośnego myślenia) z dyrektorem Uniwersytetu Ludowego ZMW we Wzdowie MACIEJEM SKOWROŃSKIM. Wybór dyr. Skowrońskiego nie był przypadkowy. Przecież to urodzony działacz kultury, rozmiłowany w Rzeszowszczyźnie, znający jej problemy, a całym sercem i umysłem oddany swym rodzinnym stronom Kolbuszowej i Puszczy Sandomierskiej z jej bogatym regionem lasowiackim. Ale parafrazując po pularną śpiewkę — rzeć może — „piękna Rzeszowszczyzna cała” więc działa tam wszędzie, gdzie uważa, że jego praca może się przydać, być pożyteczna.

W 1962 r., po 8 latach działalności w przelicznym towarzystwach regionalnych, biorąc m. in. czynny udział w organizowaniu muzeów terenowych i po kierowaniu wydziałem kultury Prez. PRN w Kolbuszowej osiadł we Wzdowie, by swe doświadczenia przekazywać poprzez Uniwersytet Ludowy młodzieży, ZMW, kandydatom na organizatorów życia kulturalnego na wsi.

Od ponad 1,5 roku UL ZMW koncentruje całą pracę na szkoleniu gospodarzy Klubów Rolnika. W tym okresie 110 aktywistek ZMW lub spółdzielczości wiejskiej ukończyło bądź 3,5 miesięczne kursy, bądź 8 miesięczny — przygotowujące do pracy w klubach, z „dyplomem” gospodarza placówki. I tu z miejsca trzeba wyjaśnić, że oficjalna nomenklatura, używająca stale określeń: kierownik — gospodarz niezgodna jest z rzeczywistością, bowiem funkcja ta w 100 proc. wykonywana jest przez dziewczęta i młode kobiety. A więc nie gospodarze, lecz gospodynie klubów...

Dyr. Skowroński, delegat na Kongres Kultury Polskiej zwraca swoją uwagę na niezwykle tempo emancypacji kobiet współczesnej wsi Rzeszowszczyzny, problem z rzadka tylko dostrzegany przez ludzi niezwiązanych na co dzień z życiem wsi. Dziewczęta po ukończeniu szkoły dbają o dalsze kształcenie, dużo czytają, (vide karty wypożyczeń w bibliotekach), są ogólnie zorientowane w życiu kraju, chętnie korzystają z różnych kursów, są gorącymi propagatorkami Nowego. Obserwacje jednoznacznie wykazują, że różnica w poziomie intelektualnym kilka lat po ukończeniu szkoły jest znaczna na korzyść dziewcząt. Rodzinna wieś traktują one poważnie i równie poważnie swoje miejsce w niej. Nie ma się czego dziwić, gdyż obecnie głównymi spadkobiercami ojcowskiej spuścizny są kobiety. Młodzi mężczyźni mniej poważnie patrzą na życie, jakoby licząc, że znajdą swe szczęście i łatwiejszą pracę gdzieś w mieście, na wielkich bu-

rowach. I tak dorasta pokolenie kobiet ambitnych, inteligentnych, zaradnych i kulturalnych. Dowodem emancypacji niech będzie również i to, że 80 procentem kół ZMW przewodniczą... dziewczęta!

Wtręt o pozycji kobiety we współczesnej wsi rzeszowskiej nie miał w naszej rozmowie nic wspólnego z pięknym tylko ukłonem pod adresem tak zwanej piści słabej.



Świadomość zmian w strukturze wsi i psychice jej mieszkańców jest podstawą sukcesów w działalności społeczno-kulturalnej.

O Klubach Rolnika i Klubu — kawiarniach „Ruchu” mówi się wiele i... różnie, mimo że zadania ich są jasno sprecyzowane: klub to miejsce kulturalnego odpoczynku, rozrywki, ognisko życia towarzyskiego wsi.

Troska o wygodne nowoczesne i estetyczne wyposażenie pomieszczeń klubowych obu organizatorów tak PUPIK „Ruch”, jak i spółdzielni „Samopomoc Chłopska” jest identyczna, ale na tym się kończą wspólne dążenia. W ubr. „Ruch” rzeszowski zrezygnował ze szkolenia kierowników klubów. Wydał 16-stronicową broszurkę — poradnik dla gospodarzy klubów i uważa, że życie kulturalne niech organizuje aktywność danej wsi. Rozmowanie to byłoby słuszne, gdyby Społeczne Rady Klubu miały większe doświadczenia w pracy klubowej, a ich skład gwarantował realizację nowatorskich planów działania. Wybór społecznych rad jak dotychczas przebiega dość schematycznie. Powołuje się do niej znanych z aktywności działaczy politycznych, społecznych i gospodarczych, którzy zwykle mają już po kilka zajęć absorbujących każdą wolną nieomal chwilę. Nie ma mowy, by mogli brać systematyczny udział w pracach klubu, ograniczają się więc do roli opiniodawcy lub inicjatora.

Społeczne Rady Klubów Rolnika tworzy się podobnie, lecz gospodarzem klubu jest zwykle młoda, wykształcona dziewczyna, która ma do pomocy organizację młodzieżową. W czasie kursu we Wzdowie na zajęciach praktycznych opanowała podstawowe formy pracy, nauczyła się poruszać po obszernej dziedzinie, jaką jest kultura, wie do kogo się zwrócić w sprawach organizacji ta-

kiej czy innej imprezy, umie posługiwać się magnetofonem, telewizor nie jest jej obcy itd. W codziennej pracy pomaga jej „wyprawka”, którą otrzymała po ukończeniu szkolenia na Uniwersytecie Ludowym ZMW we Wzdowie. „Wyprawka” — to zestaw publikacji o pracy kulturalno-oświatowej i bibliografia tej dziedziny, adresy (łącznie z numerami telefonów i nazwiskiem dyrektora lub kierownika) placówek kulturalnych naszego województwa, liczne projekty okolicznościowych dekoracji, szablon liter (wiadomo z literatury u nas nie majlącej!) i tym podobne pomoce do pracy w klubie. Koszt przeszkolenia i kierowniczkę klubu wynosi ponad 6 000 złotych. Nakład ten WZGS sówicie się jednak opłaca. Od niej można wymagać, by była inspiratorem społecznej rady oraz sama prowadzą małe formy pracy klubowej, a nie ograniczała się wyłącznie do troski o estetyczny wygląd pomieszczeń i... parzenia kawy. Ona też może być organizatorem czynnej formy odpoczynku przez tworzenie kółek zainteresowań, a wraz z bibliotekarką popularyzować czytelnictwo książek i prasy.

Kluby znalazły się w trochę dziwnej sytuacji — podkreśla dyr. Skowroński. Gdy zajęły one miejsce zlikwidowanych świetlic wiejskich, rady narodowe wszystkich szczebli „umyły ręce” od pracy kulturalnej na wsi, przekazując całą troskę o właściwe funkcjonowanie tych placówek ich organizatorom. Tymczasem klub może być tylko miejscem, w którym skupia się cała działalność organizacji społecznych i kulturalnych, a nie wyręczając je na co dzień i od święta w likwidacji nudy w czasie jesiennej szarugi i długich wieczorów zimowych.

Ruch klubów wiejskich wbrew wszystkim dowcipom typu „ile to kolejek kawy postawili sobie sąsiedzi, aby oblać np. kłęskę urodzaju jabłek” i inne okazje oraz takim czy innym nieudanym pociągnięciem ma szansę pięknego rozwoju. Kluby trzeba jednak otoczyć opieką instrukcyjno-metodyczną i pomóc im w koordynacji pracy. Wiadomo już klub jako własną placówkę i przychodnię, by odpocząć i rozerwać się. Wciągnięcie do pracy wszystkich chętnych i wykorzystanie inicjatyw środowiska do uatrakcyjnienia działalności — to zadanie trudne, wymaga doświadczenia i czasu, ale podjąć je trzeba już...

Podczas dyskusji o życiu kulturalnym na wsi i roli klubów dyr. Skowroński nakreślił ogromnie ciekawą podział pracy klubów „Ruchu” i „Rolnika” dla dobra i wsi, i samych organizatorów — właścicieli placówek. Ponieważ jest to obszerny temat sam w sobie, powrócę do tej problematyki w oddzielnym materiale.

MARIA C. GUZIOŁEK



Foto M. KOPEC

Jan Łysakowski

Generał

(Opowiadanie)

Wiatr nie ustawał od rana. Pędził deszczowe chmury, wiał do ziemianek gryzący dym z krzywych kominów. Nogi grzęzły w rozrobionym błocie. Strażnica jakby zmalowała, przypadła do ziemi. Leżałem na przycy z rękami pod głową. Tuż nade mną belki stropu porośnięte kozuchem pleśni. Migotliwa kopciłka nadawała ludzkim ceniom fantastyczne kształty. Gięły się, chwiały, jakby w jakimś tańcu. Rudy Albin gmerał w piecyku. Drzewo syczało, dymiło i nijak nie chciał buchnąć jasny, wesoły płomień...

Jarzą się ogniki papierosów. Ludzie siedzą w milczeniu. Ostatnie chwile spokoju. Zaraz kolacja, a potem...

Stuknęły drzwi. Wiatr zachybał lampką, zakręcił chmurą machorkowego dymu. Sierżant Walczak podszedł bliżej, podniósł do oczu kartkę.

— Zadora, Suchy, Motyl, Dworek... — czytał — placówka numer jeden... Milczenie. Z pniaka koło piecyka wstaje Dworek. Patrzą na niego. Ostatnio opuścił się mocno. Schudł, głowa rozkudłaczona, szczerina dawno nie golonej brody, rozchylany pod szyją mundur...

— Buty... — mruczy ochryple.
— Co? — Walczak opuszcza kartkę — co tam gadasz?
— Buty sierżant widział?

— Bo co?
— Rozlaży się...
— Więc?

Dworek postąpił krok naprzód.

— Ja znam regulamin — głos ma zduszony, ni to wściekły, ni to płaczący — żołnierz ma mieć buty czyste. Do cholery z taką służbą! Milczenie. Dworek wodzi wzrokiem dokoła. Chłopcy spuszcza głowę. Przysmak oczu. Teraz sierżant się wścieknie...

— No to idź do domu — Walczak mówi to cicho, bez ironii.

— Idź — powtarza sierżant — Ty przecież spod Radomia. Co cię bänderowcy obchodzą? Do ciebie nie dojdą...

— Nie puszczaj — Dworek zastąpił z nogi na nogę — sierżant wie, że nie puszczaj...

— Ciężko chłopakowi — wtrącił się kapral. Ziółek — buty diabli wzięli, marzec, sierżant wie zresztą, jak to po tym błocie w samych cholewkach chodzić. Ciężko...

— Właśnie — Dworek nabral tchu, jakby trochę poweselał — ciężko...

— Tak, ciężko — zgodził się sierżant — tylko masz jakiś pomysł, żeby było łatwiej?

— Człowiek tylko tak sobie powiedział — Dworek znów stracił humor — a sierżant zaraz myśli, że ja zły...

— Tak, tylko sobie powiedział. Gadasz po próżnicy... Zawsze rozważać trzeba, co i jak. Chociaż się zdarzy — sierżant zaśmiał się nieoczekiwanie — ja raz przed generałem się wyrwałem z językiem. Ale mnie opanowały!

Smiali się i chłopcy. Napięcie przyszło. Nawet Dworek wykrzywił twarz w jakimś niby to uśmiechu.

— Ee tam, sierżanta objechał?

— Nie wierzysz? — Walczak usiadł na przycy, skręcił papierosa — dwa lata dochodzi, a jakbym to wczoraj przeżył. Stare dzieje. Służylem w Drugiej Armii. Z Lubelskiego nad Nysą kawał drogi. Szło wojsko dniami i nocami. Zima ostra, drogi zniszczone, z jedzeniem krucho. Namęczyli się ludzie, że strach pomyśleć. Nad Nysą weszliśmy w okopy. Naprzeciw, za rzeką siedział Niemiec. Nie jednemu dreszcz chodził po plecach. Bo jak to wyleźć z ziemi i rzucić się przez tę wodę? Tam karabiny maszynowe, miny... Bili gęsto, nie na żarty... Sierżant mówił powoli, z namysłem. Milczeliśmy. Każdy starał się słyszeć dobrze, nie uronić ni słowa.

— Potem przyszło natarcie. Artyleria waliła, że światła nie widać. Jeden dym. My w rzekę i naprzód. Walka szła ciężka. Sporo chłopaków tam zostało. Przerwaliśmy. Ech, pościg dobra rzecz. Jedzenia więcej, straty nie takie. Zresztą, czuć było koniec wojny. Toż my już w Niemczech. W legowisku faszystowskiego zwierza, jak pi-

sał na plakatach. Wojna jednak jest wojna. Nigdy nic nie wiadomo. Zebrał „on” siłę, uderzył. Długo by mówić... Odciepli pułk od pułku, tyły od frontu, sztaby od wojska. Był tylko jeden rozkaz: obrona okrężna i stać na miejscu... Wyrziliśmy dołki koło wioski pod lasem, zwała się bodaj Opendorf, czy jakoś tak podobnie... Szły czołgi... Jeden atak, drugi, trzeci... Kurz, dym... I ciągle ten jazgot motorów... Człowieka aż wzdrygało... Bo żeby to tylko piechota, ho, ho... Umieliśmy skoczyć do gardła... Ale ten warkot i huk... Już z daleka bili z kaemów i dział. Powietrze śpiewało od pocisków... Głowa tak jakoś sama do okopu wzięła... Przerwał, zapatrzył się w kąt. Jak by szukał tam owego kwietniowego dnia i tych okopów pod dachem gwizdających pocisków. Potem zakaszlał, chrząknął i mówił dalej:

— Dowódcę plutonu trafiło w brzuch. Punkt opatrunkowy rozniósł dzień rowu i jęczał... Musiałem dowodzić plutonem. Potem zobaczyłem, że tu nic komendy nie pomaga. Trzeba się trzymać i kwita. Inaczej zostanę różki i różki. Chłopcy sami wiedzą co trzeba robić. Zia-pałem więc automat i wałę... Jak długo to trwało, trudno powiedzieć. Wreszcie jakby zaczęło przycichać. Walił wałę, ale do ataku nie idą. Rozglądam się kto żywy, kto ranny, a tu rowem naszym idzie generał, za nim dwóch oficerów. Podeszli bliżej, pytają: kto dowodzi? Ja. Ge-

nerał popatrzył, uśmiechnął się. Dopiero go poznałem i aż mnie zaskoczyło: dowódca Armii! Zaraz też mówię jak trzeba, po wojskowemu, z łapani przy szwach: obywatelu generale, pierwszy pluton drugiej kompanii zajmuję obronę. Diabeł mnie chyba podkusił, bo zaraz mi się wyrwało: zginiemy, nie cofniemy się. I jeszcze: wystarczy, że my tu głowy położymy, generał powinien się oszczędzać. Myślałem, że tak będzie lepiej, że się generał ucieśszy z mojej gotowości bojowej. Skończyłem i patrzę na generała. On już poważny, a nawet zły. Dureń — powiada — a nie dowódca. Wyprostowałem się jeszcze bardziej i nic nie rozumiem. A on ręką pokazuje i pyta: cały pluton chcesz ukatrupić, tych wszystkich chłopaków? Rzeźnikiem powinienem zostać, a nie dowódcą plutonu. I tak dalej, w ten deseń po mnie, po mnie. Ja już nie wiem, gdzie się podziać, a generał jeszcze nie ma zamiaru przestać. Umrzeć to potrafi najgłupszy — powiada. Najprędzej ze wszystkich. A tu trzeba zwyciężyć, faszystów pobić i do domu wrócić. Atakuj, a nie wybieraj się na drugi świat. Dureń jesteś i tyle. Akurat Niemiec z moździerzy uderzył, znów dym wokół i huk jak diabli. Słychać czołgi. Jak tu atakować?

...Potem się wszystko wyjaśniło. Jak myśmy te czołgi wstrzymywali, to podeszli nasi. Poszliśmy do ataku. I tak już trwało do końca. Generał jeszcze parę razy widziałem,

Krystyna Świerczewska

Improwizacja na Rejowym temat

Szopa polska, na trzy podzielona częścią, a pobudowana imaginacją Stopki, służy za tło czterem sprawom moralitetu Józefowego. Czy tylko za tło i dlatego od niej zaczynać pisać o przedstawieniu „Żywota Józefa” w Teatrze Siemaskowej wydać mi się konieczne zaraz tu wyjaśnić, bo niezwykłej piękności to scenografia i ona przede wszystkim decyduje o rytmie spektaklu, o jego stylu, o co najmniej połowie (ba — czy tylko?) jego uroków.

Istniały zgodne opinie co do dwiowości traktowania Rejowego „Żywota Józefa”: jako widowiska plebejskiego lub klasycyzującego moralitetu. Trudno nam, widzom jednego spektaklu, orzec co byłoby lepsze konkretnie w naszym teatrze; nie trudno natomiast zauważyć, że moralitet zwycięsko narzuciła reżyseria, tak też zagrali aktorzy i jedyny Stopka robił śmiało wypadki w stronę plebejskości, zabawił się tworzywem imitującym (naturalnie w najlepszym sensie) rzemiosło późnego średniowiecza, narzucał właśnie poprzez najnowszą transpozycję szopy oraz kostiumy całe układy malarskie mistrzów średniowiecza i wczesnego, choć przecie późno do Polski wkraczającego renesansu.

To były ponowne swoiste wariacje na temat „Historii o Chwałebnym Zmartwychwstaniu Pańskim”, w których drgała wyraźnie nuta sztuki plebejskiej, podporządkowana wszakże rygorom teatru lat sześćdziesiątych i dystansowi wobec tradycji (celowo kładę datę, by uniknąć pojęcia nowoczesność). I choć czasem nie mogłam oprzeć się porównaniom ze sztuką flamandzką, z jej kolorytem, to jednak zacierały się one pod wpływem właściwego rodowodu tej scenografii, wywodzącego się gdzieś chyba z kręgu Mistra Legenda Jana Jahnużnika. Dlatego pewnie patrząc na zaloty Zefiry jakos mimowolnie widziałam okrutny polityk z legendy o świętym Staniewie i tę jego część, którą nieznanemu malarz nazwał „Ukaraniem niewiernych żon”.

Niewiele ogląda się przedstawień gdzie scenografia tak bardzo ciąży na ich ostatecznym kształcie, jeszcze mniej, gdzie nadaje ona spektaklowi walor tak bardzo pozytywny. Odarci z kostiumów Stopki aktorzy, mówiący swój tekst w zupełnie obojętnej scenierii — nawet nie podejrzewam, alem pewna — ponieśliby niechybną porażkę. I dlatego „Stopce” oddała pierwszeństwo.

Czymże jest ta historia żywota Józefowego? — warto byłoby chyba powiedzieć i wyjaśnić może. Bo niecodzienny to teatr, dla widza rzeszowskiego absolutnie nowy, rozbijający nawet jego wyobrażenie o przeciętnym spektaklu, nie

dający się tak od razu wtoczyć w ramy jakiegokolwiek definicji. Liczy sobie ten pierwszy utwór o charakterze dramatu, „który w sobie wiele cnót i dobrych obyczajów zamyka” z górą 400 lat; jego inscenizacja w opracowaniu Kazimierza Dejмка — zaledwie lat osiem Zapewne niewiele by to znaczyło wobec wieku dramatu, ale Dejmk

dramatowi spoiłości — rozbiła go). W „Żywocie Józefa” jednakże w podziw wprawia co innego aniżeli inscenizacja — przede wszystkim opracowanie dramaturgiczne Dejмка, który ten zlepek tekstów staropolskich z żelazną konsekwencją uczynił autentycznym i autonomicznym dramatem, gdzie proza Rejowa patronuje nad pozostałymi autorami,

starzenia się, jej wielkości. Stąd chyba też — te liczne porażki, które świadczą o ambicji i są ciągłymi próbami.

Oczywiście o porażce w przypadku rzeszowskiego „Żywota Józefa” mowy być nie może; za wiele autentycznych ambicji złożyło się na ten spektakl. Ze jest on jeszcze jedną próbą inscenizacji — rzecz jest



„Żywot Józefa”. Od lewej: Achiza — Anna Biełkiewicz-Kujalowicz, Józef — Józef Jachowicz, Putyfar — Zbigniew Bartoszek, Zefira — Jadwiga Wysocka.

zdażył ją sam zmienić w kształcie, odebrać jej żywiołowość pierwszej inscenizacji łódzkiej, nadać charakter zamknięty, zrezygnować z liczy-nych intermedii, okroić czynności chóru, słowem — zrobić z niej utwór doskonały kompozycyjnie, zwarty, o zdecydowanej dramaturgii moralitetu i... nieco skostniały w tej doskonałości formy. To było widoczne zupełnie jasno w inscenizacji warszawskiej; to krzyczy niemal w przedstawieniu rzeszowskim — hieratycznym, ograniczonym nader mocno konwencją gestów i ruchu, w którym tylko dwa intermedia są zasadniczymi elementami zabawy i prawdziwej wesołości (nota bene pierwsze z nich — krotchwila diabelska, drapieżna i satyryczna, dość jaskrawie wyłamuje się z ogólnej koncepcji i miast — przydawać

ale oczyszczona już z dłużyzn, niechwałebnego gadulstwa, urzekająca pięknym języka, w wielu partiach pobrzmiewająca muzyczną frazą wiersza. I w wielu warstwach myślowych zawierająca materiał wcale współczesny. Zwiększa tam, gdzie cnoty i dobre obyczaje ustępują placu przywarom i niepięknym ludzkim sprawom...

Moralitet, w którym ważą się dobro i zło, w którym biblijne dzieje Józefa każą dobru triumfować, ten moralitet w rzeszowskim teatrze zabrzmiał bardzo serio. Dla mnie to wada spektaklu, bo brakło mi bardzo tego dystansu wobec tekstu, z jakim tak znakomicie rozegrali swoją Historię aktorzy Dejмка na Spotkaniach Teatralnych. Jeśli odkurzamy staropolski dramat z zapomnienia (co w końcu po Leonie Schillerze, Dejмку i Hübnerze nie jest już wydarzeniem dla widza) — to właśnie ów dystans, ironia w mariażu z lirycznością oraz sentymentem dla archaizmów językowych przydaje mu blasku współczesności. Oczywiście, że w przypadku „Józefa” sam tekst narzuca ową leciutką ironijkę i umowność traktowania czterech spraw jego barwnego żywota, dlatego aktorzy nie mogli w co kapitalniejszych momentach nie pochwycić tej nuty; za mało jej wszakże, za mało...

Reżyserka przedstawienia Jitka Stokalska, której współpraca z Dejmką układa się harmonijnie, i która znalazła się w roli jego osobistego wysłannika w Rzeszowie, cały wysiłek włożyła w ujednolicenie stylu widowiska, w jego czystość i poprawność. Trzeba przyznać, że niewiele z tego punktu widzenia przedstawieniu można zarzucić. Powiedziałabym więcej: dostrzegłam w „Żywocie Józefa” nawet swoistą doskonałość poprawności...

Tu w s z y s c y się starali, w s z y s c y zgodnie dążyli do dobrego rezultatu, w s z y s c y harmonijnie współpracowali. Efekt? Ambitne przedstawienie, nie poniżej możliwości, które, gdyby było pierwszym w Polsce, gdyby nie ciągnęło za sobą głębszą historię, ba, prawie legendy o odkrywcości, nie miało w dziejach rewiacyjnych inscenizacji — byłoby rzeczywiście wielkim novum teatralnym. Natomiast w tej konkretnej sytuacji Dejmkową inscenizację na Rejowy temat widzę trochę tak, jak przywykliśmy oglądać klasykę — to znaczy dramaty stale grywane, obrósłe w interpretacje, którym trzeba genialnego inscenizatora i reżysera, by uchylili rąbka nowych wtańmniczeń, by zabłysły nowymi blaskiem. Stąd wielka tęsknota w nas za klasyką; tu — tajemnica jej nie-

nader oczywista. Próba, która nie tyle potwierdza poszukiwania artystyczne (bo te już były o wiele głębsze i lepsze), ale próba, która proponuje widzowi rzeszowskiemu inny typ repertuaru, wkracza na pozycje teatru intelektualnego, prowadzącego z widzem dyskusję w sferze racji oraz, co wydaje mi się bardzo ważne, dyskusję na temat modelu teatru. I tu „Żywot Józefa” jako pozycja repertuarowa, spełnił swoje zadanie znakomicie, kończąc sezon akcentem rzeczywiście optymistycznym.

O aktorach trudno pisać w tym wyrównanym przedstawieniu. Wielece miłą niespodzianką była dla mnie zwłaszcza Anna Biełkiewicz-Kujalowicz, która swoją Achizę budowała na nutkach prawdziwej zabawy i miała to, czego nie widziałam za wiele w tym przedstawieniu — rodzaj własnego komentarza do mówionego tekstu. Dodajmy przy tym, że właśnie in on ów tekst zachował piękny rytm, podzwaniał wierszem. Na tej samej zasadzie zresztą grał swoje dwa wcielenia Zbigniew Bartoszek i w krotchwili piekarskiej jego trzej kompani. Poza tym z prawdziwą przyjemnością widziałam Józefem także Józefa... Jachowicza; to bardzo ładnie zagrana rola — przemysłana, konsekwentna, dowcipna.

Wymieniać wszystkich zresztą nie można — grali ambitnie; mieli na pewno trudności z dykcją, która w tej śpiewogwarze stanowiła trudny egzamin, zbyt rzadko pozwalali sobie na prawdziwą zabawę, nie mieli też wprawy w przeczuciu się z nastroju powagi do kpiny, którą tak bardzo szokował zespół Teatru Narodowego w „Historii” — ale, czyż słusze są takie porównania?

Co powiedziałaby na swoją niekorzyść, jeszcze pożyczę profesorowi Zdzisławowi Putyle, żeby przez wakacje pochwycił ostro swój chórkiem dziecięcy, który o wiele sprawnie budował obrazy wędrujących owieczek i niesamowitych adeptów szkoły katowskiej, niż śpiewał. Być może, że w tym ostatnim porównaniu zawiniło soczyste piękno obrazów — ale tu znów wraca Stopka, co jest widomym znakiem, że mnie zaczerpał i trzeba kończyć!

Teatr im. W. Siemaskowej — Mikolaja Reya z Nagłowic „Żywot Józefa”. Opracowanie dramaturgiczne i inscenizacja: Kazimierz Dejmk. Reżyseria: Jitka Stokalska. Asystent reżysera: Franciszek Burałowski. Scenografia: Andrzej Stopka. Przygotowanie wokalne: Zdzisław Putyło. Osoby: Fr. Burałowski, I. Zuromska, J. Jachowicz, T. Czarnowski, A. Fernal, W. Zawirski, W. Mierzyński, W. Trojanowski, I. Erwan, Z. Bartoszek, J. Wysocka, A. Biełkiewicz-Kujalowicz, Z. Kozień, Z. Zaremba. Premiera 20 lipca 1966 r.

Szołochow — z bliska

Korespondenci radzieckiej Agencji Prasowej „Nowosti” Inna Wasilkowa i Igor Siedych przeprawa Izli rozmowę z Michaiłem Szołochowem po jego powrocie z Japonii. Autor „Cichego Donu” udzielił wywiadu w pociągu, w drodze powrotnej z Moskwy do Stacji Wiesznieńskiej.

— Czy często udzielacie wywiadu w pociągu?

— Nie — odpowiada Szołochow — po raz pierwszy, choć często podróżuję.

— Dlaczego jedziecie do Wiesznieńskiej natychmiast po powrocie do Moskwy? Czy to prawda, że nie lubicie Moskwy?

— Bzdura. Niemal pół życia spędziłem w Moskwie, bywam tu często. W Wiesznieńskiej mieszkam dlatego, że mi się tam spokojnie i wygodnie pracuje.

— Czy obowiązki społeczne nie przeszkadzają wam w pracy literackiej?

— Przeciwnie — pomagają. Umożliwiają mi spotkania z ludźmi — lepsze ich poznanie. To prawda — zabierają dużo czasu, ale gdybym żył stale w wieży z kości słoniowej to i moi bohaterowie nie byłiby prawdziwi.

— Co stanowi dla was impuls twórczy?

— Chęć pracy, nie żyć na próżno.

— Czym byliście zanim zostaliście pisarzem?

— Próbowalem wielu zawodów, byłem tragarzem i zwykłym robotnikiem.

— Z czego się utrzymujecie?

— Jedynie z literackich honorariów.

— Czy to prawda, co się o was mówi, że jesteście milionerem?

— W pewnym sensie tak. Mam na swym koncie... 40 milionów egzemplarzy moich książek, wydanych w różnych krajach.

— Niedawno wróciście z Japonii. Co możecie powiedzieć o tej podróży?

— Jest to bardzo interesujący kraj. Przede wszystkim uderza pracowitość i żywotna siła tego narodu.

— Jak planujecie wykorzystanie 54 tys. dolarów, które otrzymaliście wraz z nagrodą Nobla?

— Chcę odbyć kilka podróży: w końcu tego roku do Indii, w przyszłym — do Ameryki Łacińskiej. Być może udam się także do Australii i Stanów Zjednoczonych.

— Jak wyglądał wasz dzień?

— Kładę się wcześnie, wstaję też wcześnie, zwykle o czwartej rano. Pracuję zazwyczaj w godzinach rannych. Nie mam jednak ściśle zaplanowanego porządku dnia.

— Co uważacie za główne zadanie pisarza w naszych czasach?

— Pisać dobre książki.

— Czy to prawda, że sceptycznie odnosicie się do twórczości kobiet-pisarzek?

— Tak, pod tym względem jestem konserwatywny. Literatura to jednak męska sprawa. W literaturze to tak jak w pracy przy piecach hutniczych. Dla kobiet jest to praca szkodliwa.

— A co sądzicie o Annie Seghers, Simone de Beauvoir, Annie Achmatowej?

— Wyjątki potwierdzają regułę. Zapełnione w ogóle nie lubicie kobiet?

— Tego nie powiedziałbym. Nie miałbym tak licznej rodziny.

— Co sądzicie o młodej generacji literatury radzieckiej, którą nazywają za granicą „buntowniczą”, o Jewtuszenko, Woznieńskim i innych. Czy zgadzacie się z krytyką ich dzieł?

— Bunt to cecha młodości. Nie rozsądne byłoby żądać dojrzałości od młodych. Dojrzałość przychodzi z wiekiem.

— Jak oceniacie przyznanie wam nagrody Nobla?

— Chyba nie oczekujecie, abym powiedział, że to byłoby niestosowne. Oczywiście, jestem zadowolony i dumny, że mi ją przyznano.

— Kiedy ukaże się wasza nowa powieść „Oni walczyli za ojczyznę”?

— Zamierzam zakończyć pierwszy tom w tym roku.

— Dlaczego tak długo piszecie swoje książki? „Cichemu Donowi” poświęciliście 12 lat, „Zoranemu ugorowi” — prawie 30, a pierwsze rozdziały „Oni walczyli za ojczyznę” napisaliście jeszcze przed 20 laty.

— Plan ilościowy w literaturze — to rzecz najgorsza. Tu nie trzeba bić rekordów.

— O czym chcielibyście jeszcze napisać.

— O miłości.

(Kt-PAP)

zawsze na przedniej linii. Chodził jakby nigdy nic. Odważny jak diabeł.

Któryś, bodaj nawet Dworek, zapytał:

— A jak się zwie ten generał?

— Świerczewski.

Milczeniem. Wreszcie Jurczak powiedział:

— Na naszą pierwszą linię, w te góry, to żaden generał się nie wybierze. Nie ma odważnych.

Sierżant uśmiechnął się lekko, pokręcił głową:

— Tak myślisz? W południe byłem przy radiostacji. Tylko, chłopcy, nikomu ni słowa, tylko wam mówię, pierwszemu plutonowi. Generał Świerczewski jest w Rzeszowskim, robi objazd garnizonów.

— Ba, garnizonów — powiedział któryś zawiedzionym głosem.

— Cóż ty myślisz, że do nas nie trafi? Wprawdzie władza nic nie mówi, ale ja go znam. Nie bał się frontu, faszystów, a jakichś głupich bzdurionów się zleknie? On, Świerczewski?

Jakoś wtedy wszystkim stało się jasne, że głupio myślał ten, co wąpił w przyjazd generała. To na pewno się stanie. Przyjedzie generał, zobaczy naszą żołnierską dole, zajrzy do ziemianek, znajdzie radę na troski. Coś poradzi na ukryte w lasach bandy, nocne alarmy, zajadłe ataki i długie czuwanie, podarte mundury, złażące z nóg buty, skąpo wydzielane jedzenie. Inaczej to wszystko półdzie. Przecież to generał, z samej Warszawy.

Koło sierżanta zaciska się ciasny krąg. On opowiada jak to generał zawsze dbał o żołnierza, myślał o tym, co mu trzeba, wszystko potrafił dojrzeć. Szła ta opowieść jak

bajka, jak wieść o czasach dobrych, które nastąpią lada dzień.

Słuchalibyśmy tak chyba do rana nie pamiętając o tym, że trzeba iść na służbę, do zalanych wodą okopów wokół strażnicy, gdy na schodach zatupały kroki. Do ziemianki wpadł łącznik dowódcy.

— Obywatelu sierżancie, porucznik wzywa do siebie. Powiedział, żeby zaraz...

Czekaliśmy niecierpliwie bojąc się czy przypadkiem takie wezwanie nie zapowiada dodatkowej służby, zasadzki w wawozach czy wypadu. Gdy sierżant nie wracał, jeden z kaprali wybrał się na zwiaady. Zaraz też usłyszeliśmy jego strwożony głos:

— Obywatelu sierżancie! Obywatelu sierżancie!

Otworzyły się drzwi i do ziemianki wszedł sierżant. Przestraszyłem się jego wyglądu. Miał czerwone oczy, twarz zgaszoną, zmiętą. Pod szyją urwany guzik. Patrzył nieprzytomnie.

Najśmielszy z nas, kaemista Piechowiak odważył się zapytać:

— Co się stało?

— Walczak podniósł głowę, milczał przez chwilę, wreszcie machnął rozpaczliwie ręką.

— Nie ma już naszego generała.

— Jak to?

— Był komunikat przez radio. Zgłnął dziś generał o-krok od nas, pod Baligrodem koło Jabłonki.

Nie krepując się nikim otarł oczy i stał nieruchomo. Ziemianka zamarla. Zdawało mi się, że belki spadły na nas, przygniotły, duszą. I nagle zabrzmiał głos Dworka:

— Panie sierżancie, my za generała im sukinsynom. Nie dokończył. Łzy płynęły mu po brudnej twarzy.

Cecylia Błońska

„LATAJĄCYM DYWANEM” PO... LALKĘ Z CZARNEGO ŁĄDU

— Afryka Wschodnia w telewizji. Kenia w kronice filmowej i w TV, relacje z „Afryki na przelaj” w tygodnikach, Czarny Łąd nakazem turystycznej mody 66 — mówi do mnie znajomy, oddany przewodnik PTTK. — Opowiedziałabyś dokładnie, jak się tam jedzie, to może by na niedzielę zorganizować jakiś latający dywan w tamtą stronę —

... W rękę trzymam kurczowo niebiesko-białą kartkę z nadrukiem „Welcome Aboard The Eaa Comet 4” z numerem miejsca, jakie mam zajmować w samolocie Wschodnioafrykańskich Linii Lotniczych. Wróżyła mi ją Zermena, pracownica tych Linii,

że olbrzymia piyta lotniska zdawała się tonąć pod polyskliwymi kaluzami. Oslepiające reflektory oświetliły samolot, który nie wiem dlaczego przypomniał mi wielki okręt. Od poczekalni przerzucono coś w rodzaju spadzistego wybiegu, krytego li noleum i pod strumieniami ulewy, po godzinie pierwszej w nocy, weszłam do wnętrza odrzutowca, nie wiedząc oczywiście, mimo owej dokładnej, trzymanej w rękę miejscówki, gdzie mam usiąść. Czarny steward wskazał mi miejsce, zaświecił lampkę nad fotelem, a ja przezornie zasiadłam okienko z widokiem na tę obcą noc wesołymi, kolorowymi fi-

nego jeszcze okna, wesoło wymachującą rękoma w stronę przyjeżdżających. To bardzo miłe z ich strony — pomyślałam, wspominając tę swoistą scenkę z Jugosławii. Z Entebbe 2 godziny lotu do Kenii.

Wracając z Arfyki, część podróży odbyłam Etiopskimi Liniami Lotniczymi. „Ethiopian Airlines” to przedsiębiorstwo transportowe obsługujące ruch pasażerski od wybrzeży Afryki po Frankfurt w głębi Europy. Jego smagolicy personel jest ruchliwy, przedsiębiorczy, niezwykle uważny i życzliwy w stosunku do pasażerów. Ich olbrzymi odrzutowiec Boeing Fan-Jet z miejsca w Nairobi bierze tak wielką liczbę podróżnych i taki ogrom bagażu, że zaczynam wątpić, czy aby zdoła wznieść się w powietrze... Ale podróż okazuje się wspaniałą, obfitość rozmaitych prospektów, barwnych przewodników, jakie otrzymujemy, całe historie od obrazkowych, kolorowych jak orientalna bajka, do prosto, surowo i sugestywnie opowiedzianych dziejów wyzwolenia Etiopii, jej lotnictwa, wciągają mnie bez reszty. Czytam, wcale nie odczuwając upału. Inni, chyba dla fasonu, raz po raz przynoszą z umywalni paczki z płatkami ligniny nasyconej lodowatą wodą, by przetrzeć twarz i ręce.

Etiopski port lotniczy w Addis Abebie, w którym lądujemy z kole, uderza i bawi mnóstwem kontrastów niezwykłych dla Europejczyka. Niewysocy Etiopczycy z czarnymi brodami w zielonkawych mundurach i czapkach z wielkim daszkiem, zwawo wskazują i puszczają w ruch helikoptery. Dziś pełno też jest przybyszów, którzy przyjeżdżają na uroczystości rocznicy wyzwolenia Etiopii. Koło mnie w samolocie siedział p. Abraham Akavia z żoną, obecnie jakiejś wysokiej rangi rachmistrz-planista z Haify. Jak to zazwyczaj bywa przy tych błyskawicznych podróżyach znajomościach, zegnaliśmy się, jakbyśmy się znali 100 lat. Wręczając mi swoją wizytówkę, adres, wzajemnie zapraszamy się w odwiedziny, on nie bez dumy opowiada o dwu paradnych uniformach, jakie wiezie do Addis Abeby, będąc honorowym gościem Haile Selassie, zaproszony na etiopskie uroczystości, gdzie ongiś walczył o wyzwolenie tego kraju.

W Kairze przesiadę się do naszego „LOT”-u. Tu, w stolicy Zjednoczonej Republiki Arabskiej, miałam możliwość przekonać się jak pięknie w dalekim świecie pracują nasze placówki dyplomatyczne, jak zawsze, w dzień i w nocy, mogą na nie liczyć polscy podróżni. Miałam zaszczyt poznać ambasadora PRL w ZRA tow. Alberta Morskiego, wielkiego przyjaciela naszego twórczego zawodu, jego niezwykle miłą mał-

górę, pomyślałam nie bez melanchoлии, że chyba tylko skojarzenia natury metrykalnej nasunęły mi to wspomnienie. Staramy się nie patrzeć na wielką rdzawą plamę, którą odkrywają lotne piaski, widoczną nie opodal Kairu, gdy maszyna zatacza startowe koła. Niedawno rozbił się w tym miejscu olbrzymi odrzutowiec, widocznie nie zdołano jeszcze usunąć śladów.

... I już „Lecimy nad Kretą” — informuje po polsku i angielsku stewardessa „LOT-u”, jasnowłosa i sztywna Polka. Na tym jednakże objaśnieniu kończy całość turystyczno-krajoznawczych informacji. Innych dostarczą poszczególne etapy podróży. Cudowne południowe słońce bliższy nad Atenami, góry otaczające stolicę Grecji toną w błękitnym, przeźroczystym powietrzu. Gwarnemu tłumowi, który zbiera się przy stoiskach z pamiątkami i tej całej kulturze nowego świata, z wysokości swego marmurowego popiersia obojętnie przypatruje się Sokrates swymi, na atyczną modłę, rzeźbionymi oczyma bez żrenic. Nasi wynoszą z lotniskowej restauracji siatkowe wory cytryn, z czego wnioskuję, że musieli opuścić kraj zanim dotarli doń cytrynowy szczyt.

Grecki aedrom przerzucił nas od samolotu do poczekalni zgrabnymi mikrobusami, tak pełnymi turystów, jak nasz warszawski autobus przed 8 rano.

Podczas postoju w Wiedniu, czujemy się już niemal u kresu drogi. Kobiety (ja nie, pod słowem) rzucają się do gablot z wyszukanyimi torebkami, portmonetkami. Łasuchy — tu nas szukajcie — podążają do cukierniczego stoiska. Resztki dewizowego kieszonkowego szybko zamieniają się w tabliczkę Velmy, Bitry, Nutry bynajmniej nie austriackiej, lecz szwajcarskiej produkcyj. Ten i ów, jak przystoi na bywalca nuci stary operetkowy szlager: „Ach Wien, ach Wien nuhr du allein”. Wszyscy zgadzamy się, że warto by zatrzymać się tu tranzytem na 2 dni. Ale nie dzisiaj. Dziś wszyscy już śpieszymy się do domu.

W Wiedniu do samolotu dostarczono słynne wiedeńskie ciastka z winogronami. — No co, wtrącić to ciacho? — radzi się obłudnie przyśadzisty przedstawiciel przemysłu włókienniczego z Łodzi, który wiezie ze Wschodu dla naszego „tekstylu” poważne zamówienia. By u-

składanki, wolna już od podróźnej gorączki, ten wielki wojaz przeżywałem jeszcze raz.

Nie mam zwyczaju przywozić z takich ekskursji gigantycznych pamiątek, których tak wiele jest w Kenii. Nie przywoziłam też, o co prosiły mnie moje warszawskie przyjaciółki, naszyjnika z zębów wieloryba.

W moim pokoju stoi mała, afrykańska lalka pięknie ubrana. Cała anegdota wyrosła wokół tych laleczek — i innych wyrobów pamiątkarskich — wielkiego Nairobi. Gdzie byście nie byli, na zakupach w sklepie, na herbatce u znajomych, opowiedzą wam, jak to w więzieniu, gdzie 5 kobiet odsiadujących karę za zabójstwo mężów (gdy opowiada tę historię niewiasta, nie omieszka dodać, że ci mężczyźni to musieli być okrutni łajdacy, z nudów, by jakoś wypełnić czas zaczęły lepić laleczki z kawałków drzewa, ze skrawków papieru. Gdy okazało się, jak bardzo są w tym kierunku uzdolnione, zorganizowano regularne warsztaty, gdzie nieszczęśliwe mężobójczynie zarabiają nieco pieniędzy na utrzymanie dla swych dzieci, wyrabiając lalki, zdobiąc je, z wszelkimi szczegółami, w strój poszczególnych szczerpów.

— Ale twoja lalka nie jest stamtąd — zapewnił mnie przeczornie, wręczając ten mały upominek na pamiątkę. Kiedy przesuwałam rękę koraliki barwnych murzyńskich naszyjników, ufarbowane na liliowy bez, z ziarenek kukurydzy, złoście z wysuszonej łupiny dyni, przypominają mi się czarni przyjaciele — Issaja, Mathieu, stateczny Murzyn w śnieżnobiałym kitlu, w okularach w złoczonej oprawie, z masywnym, złotym zegarkiem na ręce — jako dzieci tak wyobrażaliśmy sobie bohaterów „Chaty wuja Toma” — jak wskazując mi w dzień odjazdu przygotowane na moim miejscu przy stole paciorki, zgiął ramieniem naszym „znajomym” polskim gestem i zapytał, czy chcę t-a-a-a-akiej mocnej kawy.

Do tych wspomnień raz po raz dochodzi żywe przypomnienie niedawnej podróży. Oto przekazano mi w ozdóbnej kopercie, na wspaniałym papierze drukowanym, z białym orłem na czerwonym tle zaproszenie, jakie otrzymała rodzina w Afryce na wielkie uroczystości milenijne, urządzone w Nairobi przez naszą ambasadę. Żywo staje mi przed oczyma strzelista, pięknie rozwiązana architektonicznie nowa siedziba naszej placówki dyplomatycznej na równiku, z flagą na wysokim maszcie, powiewającą wśród strzelistych, egzotycznych drzew. I jej gospodarz ambasador p. Leśniewski, jej budowniczy słynny architekt Vamos, który z takim entuzjazmem opowiadał o swym pobycie w Warszawie.

A niemal równocześnie z zaproszeniem na dożynki do Jarosławia, przyszło zaproszenie na wielkie święto plonów kukurydzy i bal z tym związany, i występy znanych ludowych śpiewaków do ratusza w Nairobi na dzień 3 września (punktualnie na godzinę 8.30), gdzie całej imprezie patronuje organizacja wyżywieniowa ONZ, dochód przeznaczony jest na cele walki z głodem, a na kopercie z biletami wstępu widnieje łańciska maksyma „Fiat panis” (niech stanie się chleb).

Pomna zapewnień, które — jak po wszystkich poprzednich — składałam solennie i po tej podróży, że chyba już nigdy, że tak daleko w żadnym wypadku, że bywa straszno w „Jet”-cie, a okrutnie tęskno za małym domkiem na skarpie przy ul. Kniewskiego, bieżące zaproszenia odkładam do osobnej koperty, ale...jakoś nie chowam pod przyściwojny korzec.

Mała lalka — afrykańska pamiątka — zapominałam to powiedzieć — ma śliczne, długie rzęsy, zamyka i otwiera oczy. Pewnie mi się tylko wydaje, że gdy tak myślę o czarnych przyjaciółkach, o poznanych ładach, stolicach i ludziach, o dowodach pamięci i nowych zaproszeniach, ona, jakby wyraźnie mrugała do mnie oczkiem.

Ej, ty lalu niemalowana z Czarnego Łądu, jak mi będziesz strugać hopki, to cię schowam głęboko do szafy, a na twoje miejsce wróci mlutka cepelowska „Krałowianka jedna”.



Lalka z Czarnego Łądu.

zatrudniona na lotnisku im. Leonardo da Vinci w Rzymie. Mówi biegle po francusku, również bezbłędnie odróżniając pasażerów oblatanych od tych, którzy mają przed sobą pierwszą podróż odrzutowcem (temu prawdopodobnie zawdzięczam jej uwagę, dłuższą rozmowę, to, że podała mi swoje imię).

Ogromne, szklane drzwi z numerem „9” z wielkiej poczekalni lotniska otworzyły się w noc tak mroczną, z deszczem tak ulewным,

rankami z kretonu. Wiedzioną ciekawością zaraz je odsłoniłam. Wzbił się przed sobą, jak wielką odczuwam treść. Musiałam też wygładać nienadzwyczajnie, bo zatrzymał się przede mną ktoś z licznej załogi (z kabiny pilotów ciągle ktoś przechodził do wcale obszernej części socjalnej, w stronę garderób, kuchni) i zapytał ze zrozumieniem:

— Have a drink? Wybrał się. Akurat jestem zdolna łyknąć kieliszek w środku nocy, 10 tys. metrów ponad ziemią, z tą doskwierającą świadomością, że mam przed sobą jeszcze całych 12 godzin lotu. Po chwili zjawił się z miłym drobiazgiem, wręczając wszystkim, nielicznym zresztą pasażerom olbrzymiej maszyny miękkie, włózkowe pantofelki-skarpetki z firmowym napisem. Boy przyćmił światło, wskazał na koc, na to, że fotel jest ruchomy „do spania” i gdy tak byłam pewna, że absolutnie nie zasnę... obudziły mnie jasne promienie słońca. We wnętrzu samolotu rozniósł się swojski zapach smażonej jajeczniczy. To już pogodny, upalny ranek, pora śniadania. Zbliżamy się do afrykańskiego kontynentu. Wkrótce w Entebbe nad jeziorem Victoria nastąpi mała przerwa w locie. Szybko przywyka się do tranzytowego obyczaju owych postojów na lotniskach — miłego odprężenia dla pasażerów i kilkudziesięciu minut wyteżonej pracy dla obsługi lotniska, która błyskawicznie, niemniej bardzo szczegółowym oględzinom technicznym poddaje motory, zaopatruje samolot w paliwo, w rozmaite artykuły żywnościowe, podczas gdy nowi pasażerowie wraz z tranzytowymi, niecierpliwymi się już wyruszą.

Stojąc w Entebbe w tłumie ciemnoskórych ludzi, przypominam sobie taki postój w Zagrzebiu, gdzie w drodze do Rzymu zatrzymuje się samolot naszego „LOT”-u. Jak to w grupie rodaków śmiało się wesoło, widząc ekipę budowlanych, oszczędnie uwijającą się przy budowie nowego pawilonu na zagrzebskim lotnisku; jeden przechadzał się z młotkiem, drugi wolno spacerował z heblem, inni z całą swobodą ustawili się we wnece nie oszko-



Etiopski „Latający dywan” ląduje na lotnisku w Addis — Abebie.

zonkę, sekretarza ambasady, młodego, energicznego Stanisława Mokrzyckiego i jego kilkunastoletniego synka, który mówi biegle po arabsku. Nazajutrz rankiem, gdy opuszczaliśmy Kair, piliśmy jeszcze strzemienne połówką czarnej i szklanką egipskiego piwa, i mieliśmy bukiety gladioli (takich samych, jak z naszych rzeszowskich ogródków). P. Podczaszy — dyrektor „LOT”-u w Kairze, odprowadzając mnie do samolotu i sadowiąc wygodnie, powiedział nagle: Nie tak dawno odprawiałem tu Marlene Dietrich. Gdy samolot unosił się w

sprawiedliwie swoje łakomstwo, próbuje snuć horoskopy natury filozoficzno-katastroficznnej:

— Kto wie, może niedługo już będziemy tak lecieli... Ma rację. W południe lądujemy na Okęciu, a już przed godziną 18 wieczorem (po dłuższym postoju w Warszawie) wysiadam w Jasionce. Ku chwale pokojowej techniki XX wieku, w ciągu kilku godzin jednego dnia pokonać można odległość z Kairu do rodzimego Rzeszowa, bez „latającego dywanu”.

Gdy teraz przeglądam wszystkie prospekty, bajeczne kolorowe całe

WIDNOKRĄG
ODPOWIADA

„Kazet” — Przemysław: Obawiamy się, że to jednak grafomania. Świadczyłyby o tym zwłaszcza pierwsza, bardzo niedobra strofa: „Jesiennymi strugami rżną liście wyjącego powiewu dnia jesiennego”. Może istotnie lepiej się nie ludzić.

T. G. — Kańczuga: Spełniamy pańska prośbę, drukujemy fragment jednego wiersza, ale niestety dla odstraszenia innych. „O serce kochane czy dziewczęco//Ciało twe nie kalaja jakiegś chciwe//Ja lubięznie grzeszne czyżbyś rece//Boć powaby twe wielom by był mlie”. Jeśli już mowa o grzechu, to znacznie większym przestępstwem jest pisanie takich strof.

„Artur” z O.: O tym wszystkim co Pan wierszem pisze czytaliśmy już wiele razy w gazetach. Ale czy warto o tragicznych sprawach tak niepoważnie pisać? Nie liczymy na to, by te nowe wiersze o lepszych walorach artystycznych, jak Pan pisze, które oblicuje nam Pan przysłać, na coś się nam przydały.

St. D. Trzciana: Miłczymy. Proszę wyciągnąć stąd dla siebie odpowiedni wniosek zgodnie z Pani propozycją w liście.

M. A. — Stalowa Wola: Opowiadanie świadczy o niewątpliwym Pana talencie, chociaż mamy w stosunku do tekstu sporo zarzutów. Jest ono zbyt przeliryzowane i niezbyt określone w gatunku. Stoi na pograniczu poematu prozą i opowiadania. Jest chyba także nieco rozgadane. Ale mimo wszystko „Czas powrotu” nas zainteresował. Nie będziemy go drukowali, lecz prosimy o utrzymanie z nami kontaktu i nadesłanie więcej utworów.

„Jastrząb”: W liście czytamy: „Mam 14 lat. Już od najmłodszych lat zainteresowała mnie poezja... Zaczęłam pisać wiersze. Teraz wplątany w te magiczne sieci nie mogę przestać tworzyć... Chciałbym wstąpić do Związku Literatów Polskich i otrzymać dokument uświadomiaczy mnie, że jestem poetą.” Nad tym listem można by tylko ręce zalać, ileż tu naiwności i fałszywych wyobrażeń o twórczości poetyckiej. By zostać członkiem Związku Literatów trzeba napisać i wydać drukiem kilka dobrych książek. Do tego trzeba być dojrzałym, mądrym i utalentowanym człowiekiem. Autor listu musi zacząć się poważnie uczyć, gdyż jego wiersze nie tylko nie mają znamion talentu, lecz i widać o języku polskim. A wszystkie marzenia o natychmiastowej karierze literackiej warto wybić sobie z głowy. Życie będzie wtedy mniej skomplikowane.

Prof. dr Witold Nowacki — Sekretarz Naukowy PAN

Szkoły naukowe — dorobek nauki polskiej

Jakiś czas temu profesor Wacław Sierpiński, mówiąc o okresie przed powstaniem słynnej naszej szkoły matematycznej, stwierdził: „Choć mieliśmy matematyków znanych ze swych prac za granicą, nie było matematyki polskiej”. To bardzo cenna myśl. Bywa przecież, że bardzo wybitne jednostki tworzą w nauce nowe epoki. Bywa jednak, że najwybitniejsi uczeni reprezentują jakiś kierunek jak gdyby samotnie. Trudno wtedy mówić o istnieniu dziedziny nauki najściślej związanej z imieniem ich ojczystego kraju. Ujęcie takie bynajmniej nie neguje doniosłego czasami wpływu twórczości poszczególnych uczonych na rozwój nauki. Precyzuje tylko trochę dokładniej znaczenie tego, co przyjęło się uważać za szkołę naukową.

Można śmiało stwierdzić, że dziś — po okresie wszechstronnego i intensywnego rozwoju — posiadamy w swym dorobku polską matematykę, polską fizykę, polską mechanikę teoretyczną i stosowaną, polską chemię, polską ekonomię, polską archeologię, polską neurofizjologię. Na podstawie niektórych z tych przykładów wymienionych dziedzin chciałbym omówić dorobek polskiej nauki w latach budowy socjalizmu.

Najbardziej znana, najświetniejsza, zajmująca od kilkudziesięciu lat czołowe miejsce w kraju i jedno z najlepszych miejsc w świecie, jest polska matematyka. Jej dzisiejsze istnienie jest zasługą polskiej szkoły matematycznej. Pod wpływem twórców tej szkoły S. Mazurkiewicza, Z. Janiszewskiego i W. Sierpińskiego — matematyka poczęła w Polsce lat dwudziestych rozwijać się silnie, a cała działalność naukowa skoncentrowała się na kilku jej dziedzinach, przyciągając innych matematyków. Idee wysunięte wówczas przez matematyków polskich, podjęte matematycy w różnych krajach świata; ich szerzeniu służyły nowe czasopisma matematyczne, przede wszystkim zaś słynne „Fundamenta Mathematicae”. Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej matematyki stał się w tamtych czasach Stefan Banach, którego imię żyje dziś w wielu pracach matematycznych na całym świecie.

Dorobek znakomitej, lecz młodej matematyki polskiej stał się fundamentem jej rozwoju i osiągnięciem w naszych czasach. W dziedzinach dawniej uprawianych — teorii mnogości, topologii, analizie funkcjonalnej, teorii funkcji rzeczywistych, logice i podstawach matematyki — nasi uczeni osiągnęli nowe wyniki, gruntując pozycję polskiej matematyki na arenie międzynarodowej. Do tego doszły rezultaty myśli badawczej w dziedzinach innych: analizie matematycznej,

algebrze, geometrii różniczkowej. Dzięki intuicji naszych matematyków podjęte zostały dostatecznie wcześnie badania w dziedzinie maszyn matematycznych, których wyniki podbudowały dalszy rozwój tej dziedziny. Rozwinęły się też, po raz pierwszy podjęte w Polsce, zastosowania matematyki do problemów gospodarczych, dzięki obfitującemu w ważne praktyczne rezultaty.

Polska matematyka szczyty się dziś plejadą znakomitych nazwisk, z której choć kilka trzeba wymienić: prof. prof. Kazimierza Kuratowskiego, Andrzeja Mostowskiego, Władysława Orlicza, Stanisława Mazura, Hugona Steinhausa, Edwarda Marczewskiego, Jana Milusińskiego, a z młodszych prof. prof. Jerzego Łosia, Czesława Ryll-Nardzewskiego i Kazimierza Urbanika.

Jak wiadomo, świętych protoplastów posiadamy w dziedzinie fizyki, której współczesny rozwój, aczkolwiek zróżnicowany przez intensyfikację badań w niektórych dziedzinach, przyniósł w rezultacie dobrą pozycję polskiej fizyce na świecie. Fizyka teoretyczna, zaprezentowana przez prof. L. Infelda i W. Rubinowicza i grono ich najbliższych współpracowników, fizyka jądrowa, której najwybitniejsi przedstawiciele prof. H. Niewodniczański, prof. M. Miesowicz, prof. J. Pińewski i prof. M. Danysz i zespoły ich współpracowników mają osiągnięcia liczące się w świecie, fizyka ciała stałego, fizyka półprzewodników, optyka molekularna, elektronika kwantowa — to specjalności polskiej fizyki, określające jej charakter, a rezultatami wyznaczające miejsce na świecie. Obok już wymienionych postawić trzeba nazwiska takich naszych wybitnych fizyków, jak prof. prof. Aleksandra Jabłońskiego, Arkadiusza Piekary i Leonarda Sosnowskiego. Abstrahując od specjalności naukowej, w sumie stanowią oni zespół tworzący współczesną fizykę polską.

Dorobek nauk technicznych symbolizuje polska mechanika teoretyczna i stosowana. Do najistotniejszych osiągnięć w tej dziedzinie należą wyniki prof. Wacława Olszaka i jego szkoły, pracujących nad problematyką teorii plastyczności i reologii. Z ostatnich doniosłych rezultatów warto wskazać opracowanie zjawisk plastyczności w ośrodkach niejednorodnych i anizotropowych, pierwsze w skali światowej. Ciekawą, że w teorii plastyczności, w której polska myśl techniczna niewątpliwie rozbiła, dzisiejsze osiągnięcia stały się niejako spłaceniem długu wobec przeszłości. W narodzinach tej dyscypliny bowiem, ponownych zresztą, uczestniczył wybitny polski uczyony, Maksymilian Huber, który sformułował kryterium przejścia ze stanu sprężystego w

stan plastyczny. Dziś, gdy współczesna technika stawia wysokie wymagania wytrzymałościowe wobec materiałów i konstrukcji, stany, w których występują zjawiska plastyczności i „piynięcia” odgrywają coraz większą rolę, a ich teoretyczne opanowanie jest podstawą działań praktycznych. Stąd waga osiągnięć teoretycznych polskiej szkoły plastyczności we współczesnym świecie.

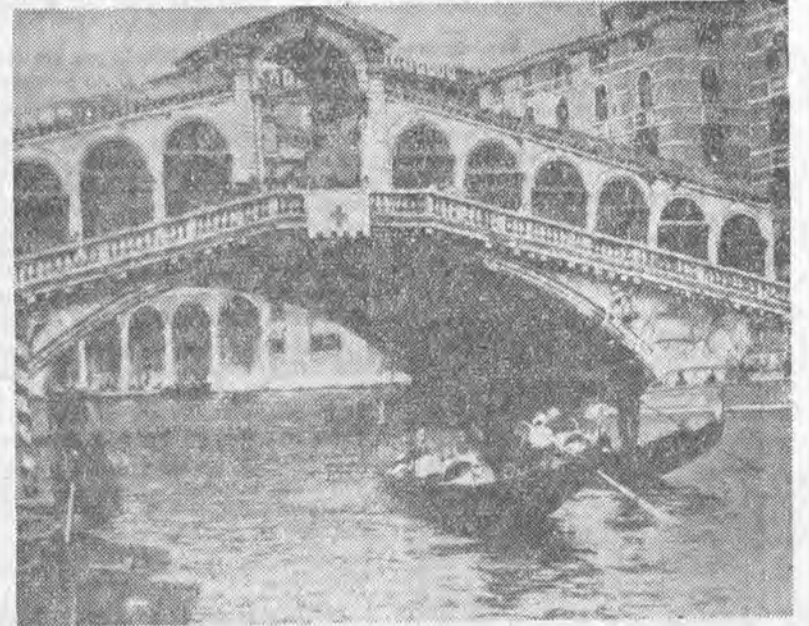
Archeologia polska ma osiągnięcia rozstrawiające imię nauki polskiej. I to nie tylko ten jej kierunek, który podejmując prace badawczo-wykopaliskowe w Egipcie, stał się szczególnie głośny swymi odkryciami. Także archeologia słowiańska, w której zajęliśmy jedną z głównych miejsc, inicjując i prowadząc prace badawczo-wykopaliskowe, które przyciągnęły uwagę archeologów innych krajów, podejmujących nasze idee i metody pracy.

Kilka słów jeszcze o dwóch dziedzinach. Polska neurofizjologia to badania prof. Jerzego Konorskiego i jego szkoły. W prowadzonych szeroko na świecie badaniach mózgu i wyższych czynności nerwowych uzyskaliśmy bardzo dobrą lokatę, a wpływ naszych badań na inne dziedziny (neurochirurgia, bionika) jest przykładem znaczenia powiązań międzydyscyplinarnych dla rozwoju nauki.

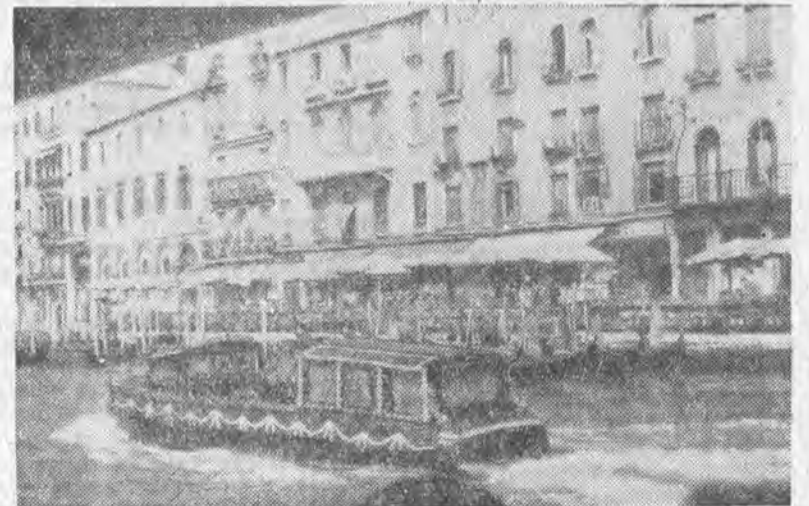
I wreszcie — polska ekonomia. Jej wybitni przedstawiciele, nie żyjący już, niestety, prof. Oskar Lange i prof. Michał Kalecki, stworzyli podstawy polskiej szkoły ekonomicznej, wpływającej wynikami badań teoretycznych na kierunki rozwoju ekonomii światowej. Wysoką rangę zyskała polska ekonomia dzięki opracowaniu teoretycznych założeń rozwoju gospodarki socjalistycznej, tworząc w ten sposób naukowe podstawy jej kształtowania w warunkach współczesności.

Ten krótki przegląd osiągnięć nauki polskiej od strony bardzo specjalnej, szczytowej, można by poszerzyć już domagającymi się wskazania lub choćby wzmianki rezultatami prac badawczych w młodych dyscyplinach naukowych, jak np. automatyka. Nie chodziło mi jednak o sumienne wyczerpanie wszystkich doskonałych wyników, lecz o wskazanie na szkoły naukowe jako na dorobek naszej nauki. Fakt oddziaływania na skalę większą niż przeciętny zasięg wpływu myśli naukowej — jest dobrym miernikiem tego dorobku.

Wenecja



Nad kanałami rozpięto 420 łukowatych mostów, a wśród nich największy i najpiękniejszy Ponte di Rialto.



Nie ma tu ulic, komunikacja miejska odbywa się na 120 kanałach.

Wenecja — miasto na 118 wyspach urzeka swym pięknem, porównywana jest do tacy z misternie przyrządzonym tortem położonej na lustrze.

Jego założyciel doża Agnello Partecipacio kierował się względami obronnymi sytuując je na morzu. Nie przewidywał wówczas, że po kilku wiekach Wenecja będzie mekką dla turystów, a jeszcze później... skazana na zagładę.

Jest więc Wenecja miastem bez ulic, bez samochodów. Komunikacja wewnętrzna odbywa się na 120 kanałach wijących się między zabytkowymi domami. Główne środki komunikacji to tramwaje wodne (vaporetta) i gondole. Ilość tych ostatnich egłże się zmniejsza. Obecnie pływa ich około 500, podczas, gdy jeszcze przed kilku laty — 1.500. Zastępują je motorówki, szybkie, wygodniejsze, ale powodujące niebezpieczną wibrację wody, która powoduje coraz szybsze pogrążanie Wenecji w lagunę.

Wenecja jest więc miastem, które najpóźniej za 100 lat znajdzie się pod wodą. Wskazuje na to proste wyliczenie: corocznie poziom wody w Wenecji podnosi się o 0,5 cm, a np. plac Św. Marka leży 40 cm nad poziomem morza.

Rokrocznie w czasie przyływu i sztormu „salon Europy” — bo tak nazywany jest potocznie ten piękny plac, na którym spotykają się codziennie mieszkańcy niemal wszystkich zakątków świata przeciętnie 10 razy jest zalewany metrową warstwą wody.

Dla rychłego ratowania zabytków architektonicznych Wenecji potrzebny jest natychmiastowy „zastrzyk” w wysokości około 50 mld. lirów. Na to nie stać zarządu miasta, bo z obsługi turystów do miejskiej kasy wpływa corocznie niepełne 15 mld. lirów.

Powołano już specjalną organizację społeczną „Italia Nostra”, której głównym celem jest ratowanie tego niepowtarzalnie pięknego miasta.

Wieża zegarowa z XV wieku przy ul. Świętego Marka.

Tekst i zdjęcia: A. ŁOKAJ

Z przewodnika wakacyjnego (Przemyśl)

KORONA MIASTA

Jest nią Wzgórze Zamkowe, z którego rozciąga się malowniczy widok na miasto i okolice, przeciętą pętlą wijącego się Sanu. Na wzgórzu stoi zamek, pamiętający czasy Kazimierza Wielkiego i Stanisława Augusta, który był starostą przemyskim, nim został obrany królem. Gotycka brama, dwie baszty, zwieńczone attyką, dziedzińiec otoczony murami i sale mieszczące dziś teatr Fredreum — oto co pozostało z dawnej zamkowej świetności.

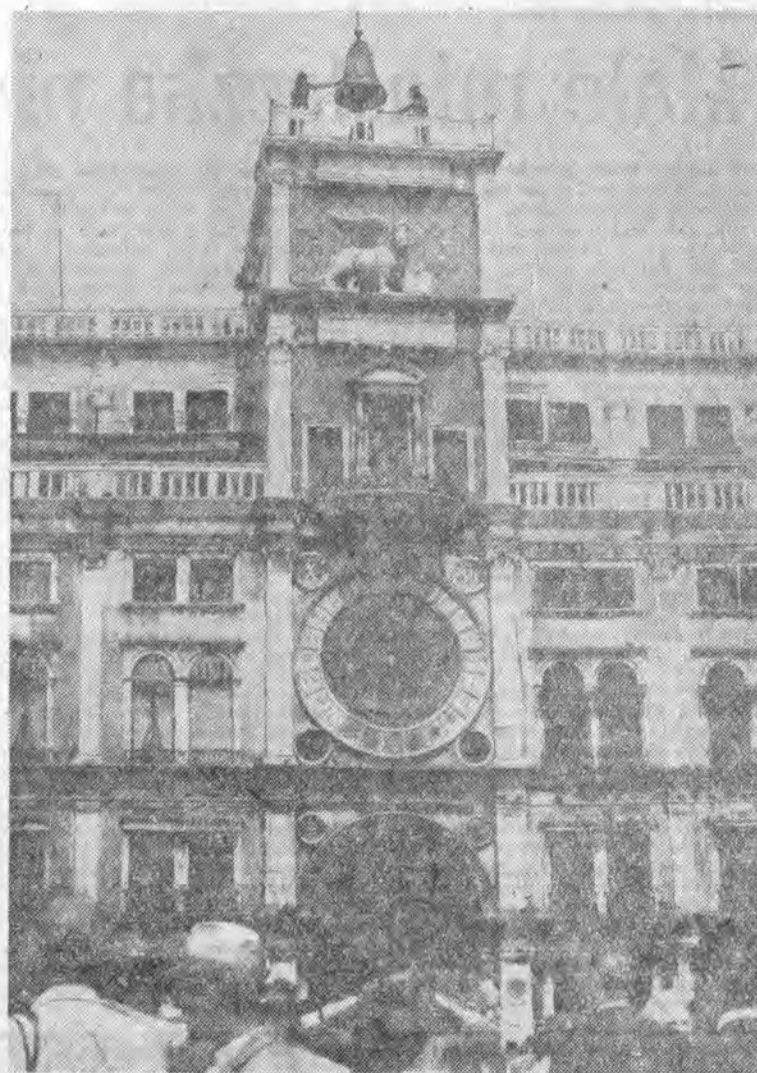
DLACZEGO FREDREUM?

W najstarszym zabytku sakralnym Przemyśla, bazylice gotyckiej, przebudowanej w XVIII w. na barokową z inicjatywy ówczesnego biskupa Aleksandra Fredry, znajduje się mauzoleum Fredrów, kasztelanów przemyskich, protoplastów autora „Zemsty” i „Ślubów panieńskich”. Nazwanie więc istniejącego od stu lat teatru przemyskiego „Fredreum” ma pełne pokrycie w dziejach miasta, związanego bardziej z herbem Fredrów — jednorożcem niż z czarnym misiem z żółtym maltańskim krzyżem.

CHAN Tatarski

Kto natomiast nie obawia się widm przeszłości ani drobnej fatyg, może wzdłuż wału dawnej fortyfikacji z pierwszej wojny wejść na wzgórze Zniestienie, ze znajdującym się tam Kopcem Tatarskim, pod którym według legendy spoczywa pewien chan poległy tam w walce. W dawnych czasach kopiec służył jako wzgórze sygnałowe, na którym zapalano ognie mające ostrzegać o zbliżeniu się nieprzyjaciela. Niektórzy podają, że na kopcu odprawiano tajemnicze kultowe obrzędy, w których uczestniczyły bieszczadzkie strzygi, zlatując się na miotłach.

ACZ.



Na naszych ekranach

Spencer Tracy

Jest niemal rówieśnikiem naszego stulecia. Piszę — niemal, ponieważ Spencer Tracy urodził się 5 kwietnia 1900 roku, jest zatem o z górą 3 miesiące młodszy od dwudziestego wieku. Ale nie tylko data urodzenia łączy go z tą epoką. Jak rzadko który artysta filmowy, aktor ten wyraża na ekranie problemy nurtujące współczesność, sięgając do spraw trudnych, często nie przy-

wiekim wypowiadającym się (choć niekoniecznie od razu) za postępem, uczciwością i sprawiedliwością. W końcowej scenie filmu „Wyrok w Norymberdze” Spencer Tracy ustami swego bohatera, sędziego Haywooda jakby uzasadnia dlaczego tak jest, dlaczego jego bohaterowie przeciwstawiają się znu, silie oraz różnym pozornym i przemijającym „racjom”, dlaczego nie pozostają bierni nawet w najbardziej beznadziejnych sytuacjach.

— Panie sędzio — pyta płk Lawson Haywooda — wiem, jak wiele znaczą te procesy. Ale przecież my walczymy o to, by wyżyć, przetrwać. Taka jest koniec końców prawda.

— Wyżyć, przetrwać? — pyta sędzia. Ale w jakim charakterze? Nie wystarczy tylko żyć. Powinniśmy żyć, przedstawiając coś sobą.

Oto credo bohaterów Spencera Tracy'ego.

Realizacji tego, co nazwałibyśmy założeniami ideowymi w twórczości Tracy'ego, zwłaszcza w jego ostatnich filmach reżyserowanych przez będącego filmowym sumieniem Ameryki Stanleya Kramera, towarzyszą sukcesy artystyczne. Jest on jednym z trzech zaledwie aktorów, którzy dwukrotnie otrzymali najwyższą amerykańską nagrodę filmową — Oscara (oprócz niego zdobył ją 2 razy Clark Gable i Frederic March), w ocenie jego kreacji opinia widza jest najbardziej zgodna z oceną krytyki.

„Kiedy Spencer Tracy zagrał w filmie „Stary człowiek i morze”, filmie wyrażnie słabym i nie hemingwayowskim, on jeden stał się godnym starego Santiago” — pisał „Sowietskij Ekran”.

„Kreacja Spencera Tracy'ego należy niewątpliwie do najwybitniejszych osiągnięć aktora” — (Angielski krytyk Peter Cowie w recenzji filmu „Czarny dzień w Black Rock”).

„Spencer Tracy w „Wyroku w Norymberdze” osiągnął szczyt swojej wspaniałej kariery aktorskiej — laconicznie, ale dobitnie stwierdził Alan Dent w „The Illustrated London News”.

W tych dwu ostatnich filmach zobaczymy go niebawem w naszych kinach. Jowialny, ale wewnętrznie skupiony, trochę staroświecki i prowincjonalny, zaprezentuje nam znów swoją umiejętność przeistaczania się, zaobscurenia znakomitym popisem gry aktorskiej, wewnętrzną i błyskotliwym dialogiem, a jednocześnie przypomni, że nie żyjemy tylko po to, by przetrwać. Że „powinniśmy żyć, przedstawiając coś sobą”.

(to. sz.)

TADEUSZ KUBAS — sekretarz KKM w Rzeszowie.
Rys. J. SIENKIEWICZ

Mały felieton

Tem felieton pisać nocną porą, choć Państwo zapoznacie się z nim może w samo południe.

Jest więc kilka minut po północy, przed chwilą mój sublokator nastawił radio. Długo regulował, kręcił tam i kręcił w powrotem, aparat kaszał i kichał jak przeziębiony staruszek z kataru, potem jakby rozplakał się, zaczął kilka razy, i wreszcie odezwał się zachrypnięty saksofon i rozległa się żalonna pieśń podwórkowego pijanego śpiewaka. No, może nie był pijany, nie wiem; w każdym razie śpiewał jak pijany.

Potem aparat znowu zaczął stękać — był to jeden z tych zaklętych i przeklętych aparatów tranzystorowych, którymi ludzie skądinąd porządni i uczciwi, zatrudniają nasze życie w domu poza domem, na ulicy, w tramwaju, w parku, a nawet w czasach podczas biwakowania w głębi ojczy- stych lasów i borów.

Kiedy skończył się koncert, odezwał się sprząwoda sportowy. Mówił głosem podnieconym i sugestijnym, chwilaami drzącym ze wzruszenia, chwilaami wpadał w euforię. Były to widać zagadnienia niezwykle ważne, skoro mój sąsiad zdecydował się brutalnie w środku nocy zbudzić wszystkich najbliższych sąsiadów. Wprawdzie można było to samo przeczekać jutro w gazecie, ale po co czekać? Sport to zagadnienie poważne i

wychowawcze. Wystarczy zobaczyć uduchowione twarze kibiców podczas zawodów bokserkich, kiedy trzeszcza kości championów, a krew kapie na arenę. Mocna rzecz.

Mecz: sto tysięcy ludzi na trybunach stadionu, pięć milionów kibiców przy telewizorach, dwadzieścia milionów przy aparatach radiowych. To coś jest.

A poezja? Co to poezja? Poezja leży. Poeci leżą i kwiczą. Poeci nie gołeni, obrosnieli obojętnością i zapomnieniem.

Wszystcy wiemy kim jest Kirszensztajn, Sidlo, Pietrzykowski. Ale jeszcze nie wszyscy słyszeli o Norwidge.

Pamiętam gdzie, kiedy i z kim wygrał zespół „Real Madrid”, ale ilu kibiców sportowych słyszało o niejakim Hiszpanie, który nazywał się Federico Garcia Lorca?

A moi przyjaciele poeci, zapewniam, że żadna obojętność nie jest w stanie przeszkodzić im. Poeci zapewniam, że są już blisko poezji absolutnej, która posiada siłę niemal boską, chciałoby się rzec: niemal nuklearną.

Trochę przesadzają, ci nasi trubadury kochani z epoki aparatów tranzystorowych i elektronicznej muzyki. Ale w literaturze trudno obeić się bez przesady.

Sublokator zgasił radio. Dobranoc.

KALMAN SEGAL

Na wprost

Małe miasteczka nie są nudne

Tak brzmi tytuł obrazu jednego z łódzkich artystów, o ile się nie myle Lucjana Mianowskiego. Nie pamiętam już treści samego obrazu — oglądałem go z 10 lat temu — ale tytuł, jak natężony refren, wraca do mnie zawsze ilekroć wypadnie mi dłużej przebywać w małym miasteczku. W tym roku spędzałem w takiej miejscinie urlop. Pożorna monotonia i sielskość prawie arkadyjska kończyły się, gdy od spraw wakacyjnych — rzeki, lasu i powietrza trzeba było się oderwać i zająć bardziej powyszczniami i przyjemnymi — zakupami w sklepach czy korzystaniem z innych udogodnień usług. Wtedy zaczynał się pasjonujący hazard: „Uda się czy nie uda?” Na kilkanaście sklepów bowiem i zakładów usługowych działało zawsze tylko parę i nigdy nie wiadomo które. Przy czym takiej sytuacji są bardzo urozmaicone: „Wyszedłem na chwile”, „wracam za 10 minut”, „Jestem na naradzie”, „Z powodu choroby personele sklep zamknięty” czy nawet „wyszędłem służbowo” itd. Ta bardzo bogata literatura na wywiastkach sklepowych jest literaturą z przywróceniem oka. Inaczej się ją zresztą pisze a inaczej czyta. Zamiast jestem w banku, a lekarza czy na naradzie czytamy — wypadłem na jednego, poszłam na ptocecki, załatwiam sprawę osobista. W tych wszystkich kramikach i sklepikach żyją bowiem ludzie niezależni, którzy swojej osobistej swobody za parę groszy nie sprzedadzą. Dla wielu klient ma rację, o ile nie zawraca im głowy swoimi potrzebami. Czy można się nudzić w takim miasteczku, w którym buty trzeba reperować w warsztacie ry-

marckim, bo szewo oo rano głośno otwiera swój lokal i natychmiast go później po cichu zamyka lupiąc całym dniami z kolegami w karty? Dokonanie w tych warunkach wszystkich sprawunków niezbędnych do wyżywienia rodziny przypomina grę w lotolotka.

Małe miasteczko nie jest nudne. Nawet jeśli jego mieszkańcy chwilo- wo się nudzą, wychodzą na rynek, który pełni funkcję salonu. Utrzymuje się tu najlepsze tradycje perypatetyków. Chodzą się gościniami z przyjaciółmi i rozstrząsa sprawy wielkiej i małej polityki: kto, kiedy, jak mocno i z jakiej okazji, kto z kim i jak ona się prowadzi, kto kogo o podłożył i kto kogo gdzie ma. Perypatetycy wszystko widzą, bo całe życie miasteczka stoi przed nimi o- tworem i wszystko skomentują słowem zawieszonym i jednym.

Małeczek ma także i inne rozrywki. Ktoś komus przesyła przez prywatną drogę, eryjęs kury zdep- towały sąsiadowi trawę, jakaś krowa weszła na cudze podwórze i wiede w arkadyjskiej ciszy rozlega się straszliwa burza. W tym na pół rolniczym grodzie kłótnie wybuchają często i stanowią część życia kulturalnego sąsiadów. Padają wtedy krzyki o krawicy, prawie, sprawiedliwości i wielopiętrowe epitetły. W tym to miasteczku wyteczono kiedyś proces o naruszenie prywatnego obszaru powietrzny nad posiadłością jednego z obywateli. Miasteczko w takich przypadkach nie pozwala na żadną neutralność — jest wielkodusze i wciąga nawet obcych do rozrywki. Przychodzi do takiego letnika jeden z bohaterów awantury i prosi, by

świadczyć przed kolegium orzekającym, że sąsiad mu nawymyślał, obrzaził go i straszny krzykiem zaklął spokój publiczny. Tak się składa, że ty udozoimecz kupujesz mleko u tego poszkodowanego na honorze. Ponieważ nie chcesz pchać palca między drzwi i wchodzić między ostrza potężnych szermierzy, grzecznie odmawiasz, tłumacząc się, że jesteś obojęt, nie znasz sprawy itd. W zamian za to i ty zostajesz załatwiony odmownie, gdyż sąsiad cie prosi, by już więcej do niego po mleko nie przychodzić, gdyż ma inne plany gospodarki nabiałem. Czy można się nudzić w takich warunkach?

Nie, małe miasteczka nie są nudne... Pije się tu więcej niż gdziekolwiek i w sposób bardziej interesujący. Ludzie spadają ze stołków, całują się i załatwiają stare porachunki spontannie, bezpośrednio i na oczach całego miasteczka. Tu w sobotę i niedzielę młodzi zmotywowani i nie- trzeźwi ludzie urządzają brawurowe przejażdżki motorami po głównej szosie i emocji jest co nie miara. Tu człowiek, u którego dwa razy kupię papierosa, wie o tobie więcej niż ty sam. Tu co krok spotykasz zdarzenia i sprawy ładne, zabawne, groteskowe i odradzające, ale nigdy nudne. Szokuje przede wszystkim w takich osiedlach pogranicze nowoczesności i tradycji, obyczajów patriarchalnych i współczesnych, no i całkowita jawność życia prywatnego. Tu nie ma tajemnic. Wszystko jest własnością wszystkich. Dlatego malarz miał zupełną rację. Małe miasteczko nie jest nudne.

JOTGIEL



NIKTÓRE ASPEKTY ROZWOJU KRAJÓW SŁABO ROZWINIĘTYCH GOSPODARczo. W-wa 1966, KIW, s. 276, cena 30 zł.

Porzycja zawiera następujące prace: Oskar Lange — Kierunki rozwoju, Ryszard Pluta — Niektóre aspekty rozwoju krajów słabo rozwiniętych gospodarczo, Tadeusz Dowjat — Zagadnienia oświatowe krajów słabo rozwiniętych gospodarczo, Zofia Świebelska-Sokolewicz — W sprawie świadomości etnicznej ludów „czarnej” Afryki, Szymon Chodak — Czynniki kształtujące systemy polityczne „czarnej” Afryki, Justyna Skrzypek — ONZ a problem likwidacji systemu kolonialnego, Bronisław Sulimierski — Plan Colombo a rozwój gospodarczy krajów Azji południowo-wschodniej w latach 1950—1960. Tabele.

Jacques Gernet: CHINY STAROZYTNE (Od początków do ustanowienia cesarstwa). W-wa 1966, PWN, s. 116, cena 10 zł.

Autor jest profesorem na Sorbonie, gdzie kieruje Katedrą Języka i Cywilizacji Chińskiej. Na podstawie wyników licznych wykopalisk przedstawia przeobrażenia społeczne, techniczne i intelektualne, jakie dokonywały się w Chinach w ciągu ostatnich dwóch tysięcy lat przed naszą erą.

Tadeusz Holuj: ZAWSTYDZENIE. W-wa 1966, Iskry, s. 156, cena 21 zł.

Poszukiwanie tajemnicze zaginionego ojca przez jego osiemnastoletnią córkę — to fabuła nowej powieści Holuja. Te poszukiwania pozwalają stworzyć obraz człowieka, który przeżył wiele w związku z wojną i okresem powojennym. Drugi, zupełnie inny portret psychologiczny — to przedstawicielka pokolenia urodzonego i wychowanego po wojnie, córka głównego bohatera — Magda.

CZECHOSŁOWACJA. Thun. M. Kambienicki. W-wa 1966, KIW, s. 214, cena 50 zł.

Jest to przede wszystkim monografia gospodarki i ekonomiki CSRS, ukazująca rolę w systemie państw socjalistycznych. Wiele miejsca poświęca się w niej jednak informacji o zjawiskach z zakresu kultury, spraw społecznych i politycznych, a także geografii kraju.

MATERIALY ŹRÓDŁOWE DO HISTORII POLSKIEGO RUCHU LUDOWEGO. T. IV 1939—1945. W-wa 1966, LSW, s. 614, cena 50 zł.

Wydawnictwo obrazuje działalność ruchu ludowego w kraju w okresie okupacji hitlerowskiej. Zawiera wybór podstawowych dokumentów powstałych w tym okresie w wyniku działalności władz konspiracyjnego ruchu ludowego.

Stanisław Żólkowski: POZĄTEK I PROGRES WOJNY MOSKIEWSKIEJ. W-wa 1966, PIW, s. 261, cena 26 zł.

Po raz pierwszy po wojnie wydane, w starszym opracowaniu Jaremy Maciszewskiego, pamiętniki słynnego hetmana, który w obronie ojczyzny zginął pod Cecora. Utwór ten tkwi w problematyce wojny polsko-moskiewskiej z lat 1609—1611. Obok wartości historycznych i poznawczych, posiada ona dużą wartość literacką.

KOBIETA WSPÓŁCZESNA. Z badań socjologów, lekarzy, ekonomistów, pedagogów i psychologów. W-wa 1966, KIW, s. 278, cena 45 zł.

Nowy tom Biblioteki Nauki o Pracy. Zawiera zbiór referatów wygłoszonych na seminarium pracy kobiet Instytutu Filozofii i Socjologii PAN. Odzwierciedlają one główne kierunki badawcze oraz zainteresowanie poszczególnych dyscyplin wiedzy problematyką pracy kobiet.

Czesław Czerniawski: SZLI ZOZNIE-RZE. Gdynia 1966, Wyd. Morskie, s. 187, cena 15 zł.

Powieść osnuta na wspomnieniach frontowych z 1945 r. Cechuje ją bezpośredniość i autentyczność przeżyć. To już czwarta z kolei książka znanego szczecińskiego dziennikarza.

Sergiusz Zatyglin: NAD IRTYSZEM. Przeł. H. Broniatowska. W-wa 1966, PIW, s. 177, cena 10 zł.

Autor ukazuje atmosferę wsi syberyjskiej z lat trzydziestych, w początkach kolektywizacji, okres pelen konfliktów i dramatycznych spłec. Stanowi jedną z najciekawszych powieści w najnowszej literaturze radzieckiej.

Józef Guterman: JAK TO NA WOJEN-CE... W-wa 1966, MON, s. 252, cena 16 zł.

Wznowienie ciekawych wspomnień byłego instruktora propagandy artystycznej i Dywizji Kościuszkowskiej. Nie analiza sprawy wielkiej polityki, lecz lekko i dowcipnie obrazują codzienne życie żołnierzy.

Zbigniew Florczak: MORZE W C-DUR. W-wa 1966, MON, s. 281, cena 20 zł.

Psychologiczna powieść o kompleksach i cierpieniach człowieka osamotnionego. Miłość, która jest jednym z wątków powieści, stanowi pewną szansę jego ocalenia. Rzepiec dzieje się współcześnie, na Półwyspie Helskim.

Manfred Bieler: BONIFACY. Przeł. G. Mycielska. W-wa 1966, PIW, s. 277, cena 14 zł.

Świętyni parodysta niemiecki młodego pokolenia — Bieler — stwarza w swej nowej, satyrycznej powieści typ współczesnego Sowizdrzała, którego przygody wy- szydają pewne cechy narodowe Niemców.